

Mieszkowski, Wiktor

>>Kocham swoją Wkrę<< - spojrzenie na literacki dorobek Stanisława Dykińskiego

Bieżeńskie Zeszyty Historyczne 16, 15-78

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

“Kochałem swoją Wkrę” – spojrzenie na literacki dorobek Stanisława Dyksińskiego

1.

Z Bieżuniem i najbliższą okolicą byli związani trzej pisarze, którzy jednocześnie byli działaczami społecznymi i dla miasteczka nad Wkrą czynili wiele dobra.

Chronologicznie biorąc, pierwszym z nich był Michał Synoradzki żyjący i piszący w końcowej fazie pozytywizmu i początku epoki Młodej Polski. Był on autorem licznych powieści i artykułów w prasie płockiej



Fot. 2. W biurze sekretarza gminy w Bieżuniu, ok. 1933 r. Od lewej siedzą: Alfons Kłopociński, Józef Kuźniewski – sekretarz gminy, dwóch praktykantów-sekretarzy. Stoją: Waclaw Grześkiewicz, Stanisław Dyksiński. W zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu, MB/AH/922.

i warszawskiej pisanych w duchu epoki postyczeniowej oraz zgodnie z wzorcem powieści historycznej stworzonym w naszej literaturze przez J.I. Kraszewskiego.

Drugim z literatów związanych z Bieżuniem, tym który “ziemię Jurandową” wydobywał z zapomnienia, z “chaosu stworzenia” był Stefan Gołębiowski – poeta, prozaik, tłumacz, działacz, polonista.

Równoległe z pisarstwem tego ostatniego twórcy należy widzieć dorobek literacki Stanisława Dyksińskiego. Jego życie, praca i twórczość ściśle przylegają i wyrastają z ziemi nadwkrzańskiej, z Bieżunia i okolic.

Urodził się 9 kwietnia 1909 r. Był zatem o parę lat młodszy od Gołębiowskiego (1900 r.). Przeżył życie pracowite, twórcze, takie jak jego pokolenie – walczące, gdy był czas walki, pracowite, gdy należało po wojnie



Fot. 3. Stanisław Dyksiński z rodziną. Od lewej: Alicja Strykowska – siostra Stanisława Dyksińskiego, Ewa Górczyńska – jego babka ze strony matki, rodzice Stanisława: Helena i Józef, Teodozja Junkier – siostra Stanisława; po lewej St. Dyksiński jako dziecko, po prawej starszy brat Klemens. Ze zbiorów rodziny Kogowskich z Bieżunia.



Fot. 4. Klemens Dyksiński z żoną przed starym domem przy ul. Płockiej w Bieżuniu, lata pięćdziesiąte. Ze zbiorów rodziny Kogowskich z Bieżunia.



Fot. 5. Brat Stanisława – Antoni. W wieku 17 lat wyjechał do USA, do kraju nie wrócił. Ze zbiorów rodziny Kogowskich z Bieżunia.



Fot. 6. Żona pisarza – Jadwiga z siostrzenicą Haliną (obecnie Kogowska), ok. 1934 r. Ze zbiorów rodziny Kogowskich z Bieżunia.



Fot. 7. Stanisław Dyksiński z córkami: Barbarą i Grażyną na Helu, 1959 r. Ze zbiorów córki pisarza – Grażyny.

budować zręby nowej Polski, a później poświęcić swoją wiedzę, siły dla młodszych pokoleń. Zmarł 27 grudnia 1973 r. w Warszawie¹. Został pochowany w Bieżuniu. Pamiętam pogrzeb i pełne żarliwości i głębokich, literackich honorów przemówienie wygłoszone przez kolegę po piórze – L.M. Bartelskiego – nad grobem. Uświadomiłem sobie wtedy, że oto Bieżuń żegna swego syna, piewcę, człowieka oddanego tej ziemi.

Nie orientowałem się jeszcze wtedy, że odchodził pisarz, który stworzył utwory różnorodne, nie tylko ładną, wojenną powieść „Chustka Weroniki”, którą w Bieżuniu czytano.

Po latach pojawiła się potrzeba czytelnicza, potrzeba odczytania książek Dyksińskiego na nowo i spojrzenia na nie zarówno od strony realiów bieżuńskich, jak też ogólnoliterackich wartości.

Niniejsza praca jest próbą ogarnięcia i włączenia dorobku literackiego Stanisława Dyksińskiego w kontekst ogólny literatury, a także wydobycia tak widocznego w tej twórczości lokalnego kolorytu, piękna i po prostu – tego wszystkiego, co wartościowe, humanistyczne, ogólnoludzkie.

2.

Pierwszą książką, choć nie debiutem literackim, była powieść „Chustka Weroniki”. Jest to powieść wojenna. Drukiem wyszła w 1967 r. w nakładzie 6000 egzemplarzy w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Jest powieścią udaną i ciekawą, zważywszy, że tematyka wojenna pod koniec lat sześćdziesiątych była już w naszej literaturze wyczerpana, a świat w ogóle był opisany. Rozrachunki i dowody wojennej gehenny już wcześniej ujawniono. Największe dzieła świadków wojny i jej uczestników ujrzały światło dzienne w zasadzie do roku 1965.

Powieść została osnuta na tle walki ugrupowania ludowego ruchu oporu na Podhalu – Konfederacji Tatrzańskiej – z hitlerowskim okupantem². W ten sposób zaprezentował czytelnikom „Chustkę Weroniki” jej wydawca.

Zwrócono wtedy uwagę na fakt, że powieść zawiera najprawdziwsze wydarzenia, mimo przysługującego utworowi nie należącemu do tzw. „literatury faktu” prawa do literackiej fikcji (w dobrym tego słowa znaczeniu).

Fabula jest bardzo ciekawa, nawet zajmująca, zawiera – jak pisano – „posmak sensacji”.

Był schyłek 1939 r. na Podhalu. Młoda nauczycielka Weronika wróciła z wycieczki po Huculszczyźnie. Miała w pamięci świeże piękno Howerli, Czarnohory, kaniony Czeremoszu. Przekomarzała się z młodszą siostrą Zosią, dla której nic innego nie mogło być piękniejsze nad urok Gerlacha, Rysów, Giewontu, Doliny Kościeliskiej.

Weronika zbierała siły do pracy w szkole wiejskiej w nowym roku szkolnym. Nastrój pogody i zapału do pracy został jednak szybko zniweczony przez radiowe komunikaty o walkach pod Mławą, Częstochową i o Westerplatte. Była nauczycielką z dwuletnim stażem, pochodziła z małego gospodarstwa góralskiego. Weronika z początku jakby nie wierzyła w realność komunikatów o wybuchu wojny, szykowała swój nauczycielski ekwipunek. Należała do harcerstwa i "Wici".

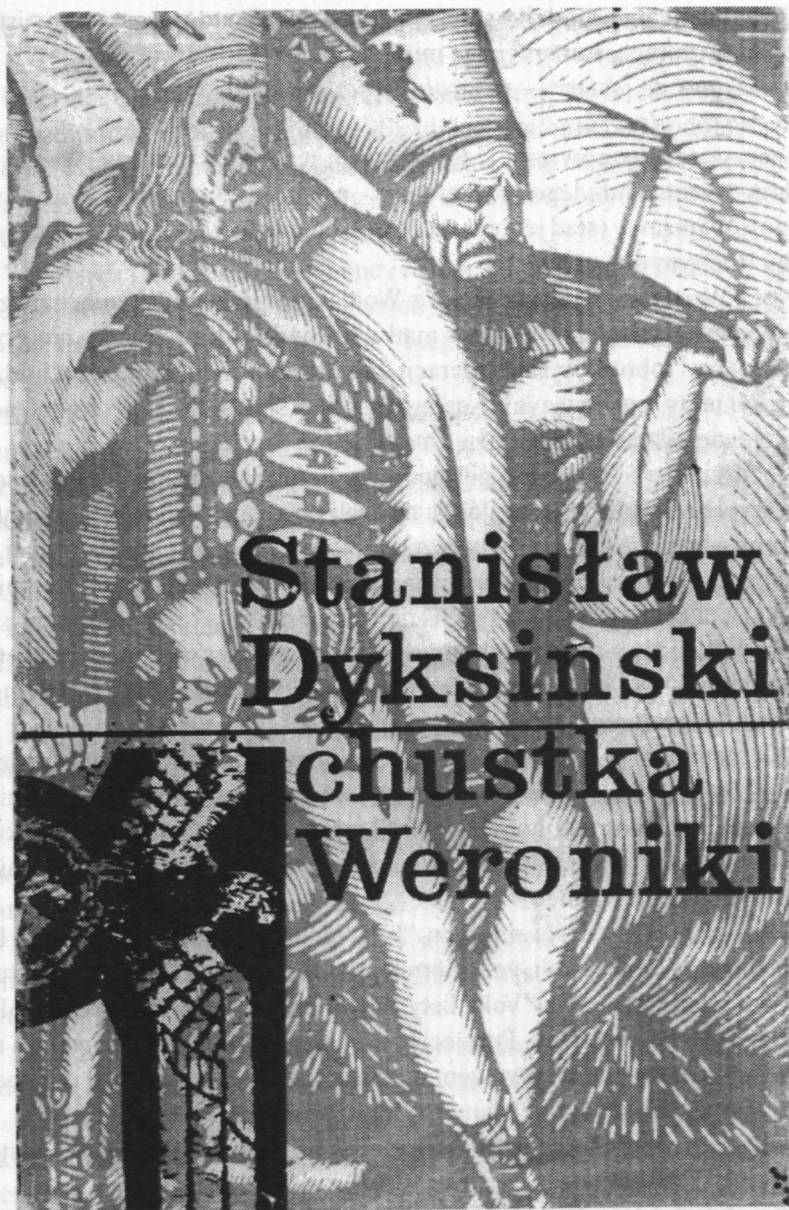
Jej ojciec był działaczem ruchu ludowego. Młodsza siostra Zosia na wieść o wybuchu wojny pragnęła zostać sanitariuszką. Mimo "lodowatego podmuchu wojny" Weronika pożegnała domowników, psa Rozbója i wczesnym rankiem wyszła z domu. Zmierzała do swojej szkoły, do dzieci, które miała spotkać po wakacjach.

Po krótkim marszu przesiadła się na okazyjny samochód i dotarła do Rabki. Stąd ścieżką udała się do Obidowej, by wkrótce dotrzeć do schroniska Rabska Górna. Słyszała, jak samoloty zrzucały bomby koło Raby Wyżnej. Dalszy odcinek trasy do szkoły odbyła w towarzystwie żołnierzy, którzy podążali furgonetką ku swemu oddziałowi. Dalej szła już pieszo, ciągle w górę.

W szkole dzieci było niewiele, powitała je serdecznie. Kierownika szkoły nie było, wcześniej bowiem został powołany do wojska. Do wsi, gdzie miała uczyć po wakacjach, zbliżały się wojska niemieckie. Weronika wysłała przyjaciółkę Danusię, by ostrzegła znajdujących się w pobliżu polskich żołnierzy. Niemcy wdarli się do wsi kolumną czołgów. Walki trwały aż do zmroku.

W rozdziale drugim Weronikę widzimy w miasteczku Cło Stare, leżącym na trasie Kraków-Zakopane. Było to miasteczko, mówiąc po góralsku, "ani wielgie, ani małe, jeno takie w sam roz". Stąd dokonywano przetrzutów ludzi za południową granicę trzema drogami: przez Chochołów, Czorsztyn-Niedzicę, Zakopane.

Weronika była łączniczką, pomagała przedostającym się na Słowację. Wśród mających uchodzić na Węgry był dwudziestodwuletni Krzysztof noszący pseudonim "Warszawiak" – wojenny partner Weroniki. Między



Stanisław
Dyksiński
Chustka
Weroniki

Obwoluta powieści "Chustka Weroniki".

nimi spontanicznie zrodziła się sympatia, a wkrótce to uczucie przeistoczyło się w gorącą, romantyczną miłość.

— *Szkoda, że idziesz — wyrwało się jej.*

— *Muszę, ale wrócę.*

Tak zaczyna się w powieści jeden z dwóch wątków – miłosny. Weronika obdarzy wkrótce młodego konspiratora – naprawdę Krzysztofa Witosławskiego z Warszawy (stąd jego pseudonim) – uczuciem i gorącym i w czasie wojny trudnym do spełnienia.

Nocą Weronika, Krzysztof i Piotr Wojdat (żołnierz podziemia, nauczyciel) wracali do domu. Tu wobec matki Weroniki – Katarzyny – nie kryli się ze swoją “robotą” w Konfederacji Tatrzańskiej. Z jej domu rozchodziły się kontakty z walczącymi z całego Podhala. Zbrojne ramię organizacji mieściło się gdzieś na Turbaczu, Starych Wierchach.

Do Konfederacji spośród postaci z powieści należeli prawie wszyscy, szczególnie młodzież. Starzy górale należeli pośrednio, ułatwiając młodym przeprowadzanie akcji, udział w rozprowadzaniu gazetki powielaczowej.

Od początku wojny tą organizacją bojową interesowała się policja niemiecka, a także w Krakowie osobiście Hans Frank.

Weronika i Krzysztof przygotowywali na strychu nowy numer gazetki konspiracyjnej. Jej kolportażem miał się zająć “Wiktor”. Mimo że Niemcy “węszyli”, konspiracyjna robota szła sprawnie.

“Konfederaci” przyjęli zasadę, że najbezpieczniej będzie prowadzić akcję przeciwko Niemcom z miejsca ulokowanego pod nosem policji niemieckiej. Wtyczką miał być “Bernard”, pracownik w biurze niemieckiej “Kriminalpolizei”. Współpracownikiem był Wiktor, ponieważ znał niemiecki i obyczaje Niemców.

Na początku powieści młodym “konfederatom” zależało na tym, by szybko uświadomić górali, że nie powinni podpisywać karty tzw. “Gorral-lenvolku”, odpowiednika “Volkslisty”, czyli stawać się w ten sposób kolaborantami faszystowskimi. Przyjęcie “karty góralskiej” nie zapewniało na przykład ochrony przed wywozem na przymusowe roboty, przed oddawaniem kontyngentów, rekwizycjami czy aresztowaniem³.

Bohater powieści Krzysztof uważał, że Niemcom należy przeciwstawić się najskuteczniej akcjami zbrojnymi, nie “bibułą”:

Nie ufalem i nie ufam tak zwanej potędze słowa (...). Z wrogiem wolę rozmawiać przez lufę pistoletu.

Krzysztof jest radykalny, bezkompromisowy, gdy tymczasem Wiktor ma pogląd, że *istnieje kwestia wyboru form walki*.

Polemika w oddziale zbrojnym “konfederatów” na temat wyboru sposobu walki trwa w powieści długo. Skądinąd wiadomo, że podobne spory i moralne dylematy miały miejsce przez całą wojnę i dotyczyły wszystkich organizacji zbrojnych. Prowadziły niekiedy do poważnych powikłań ideowych i rodzily rachunki krzywd.

W powieści Dyksińskiego Niemcy rozpoczęli wojnę od likwidacji grupy Żydów. Bezbronnych, nie stawiających oporu rozstrzeliwali koło Kirkuta. Stosowali bestialski, wyrafinowany “bieg do śmierci”. Uciekł tylko jeden – odważny Cajger.

Siedziba SS znajdowała się w Zakopanem w willi “Palace”. Na czele niemieckiej policji stał Robert Philip Weissman – SS-Hauptsturmführer. Przybył tu w październiku 1939 r. z Drezna i Krakowa. Zakopiańska placówka gestapo pod nazwą “Palace” miała wiernie zrealizować założenia “generalnego planu wschodniego” (Generalplan Ost) opracowanego w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) na początku roku 1940. Plan ten zakładał, że Polacy jako “najniebezpieczniejsi ze wszystkich obcoplemionców mieli na zawsze zniknąć z terenów polskich i z mapy Europy”⁴.

Niemcy w “Palace” srożyli się. Zrozpaczona Danka przyniosła walczącym młodym wiadomość, że *matkę Niemcy rozstrzelali*.

U rodziny Pająków była rewizja. W piecu Niemcy znaleźli tajne gazetki⁵.

Matka Weroniki jeszcze przed śmiercią zerwała z głowy swoją chustkę i powiedziała: *Dajcie ją mojej córce. Ukochany Weroniki – Krzysztof – zauważył, że to nie chustka, sztandar!...*

Motyw chustki będzie od tej pory występował w powieści często jako symbol, wojenny talizman Weroniki. Zarazem stanowi wyjaśnienie tytułu powieści.

Kolejny, czwarty rozdział opowiada o akcjach zbrojnych oddziału Konfederacji Tatrzańskiej oraz kontynuuje wątek miłości romantycznej.

Na czele oddziału bojowego młodych stał “Orzeł”, człowiek znający taktykę walki partyzanckiej, odważny, bezkompromisowy. Jego podkomendnymi byli: Weronika, Krzysztof, Kamień, Kruk, Borsuk, Ryś, Skowronek, Wiktor i inni, występujący epizodycznie⁶. Gazetki dostarczały do umówionych punktów Weronika i Danka.

Oddział Orła wyrusza na akcję zdobycia broni i porachunku z Niemcami znajdującymi się na posterunku żandarmerii.

Komendantem niemieckiego posterunku w górach był Gustaw Klauss. Dał się poznać ludności Podhala jako rasowy funkcjonariusz aparatu stworzonego przez komendaturę z "Palace" w Zakopanem. Za dobre pełnienie służby Klauss otrzymał 10 dni urlopu. Z tej okazji Niemcy z posterunku urządzili sobie piknik. Partyzanci, wykorzystując sprzyjający moment, dopadli do drzwi posterunku, zaskoczyli Niemców, zdobyli broń. Ryś serią zastrzelił wrzeszczącego *Polnische Banditen!* Klaussa. W akcji brali też udział Krzysztof i Orzeł. Pozostałych esesmanów na rozkaz Orła rozebrano z mundurów i pod groźbą rozstrzelania puszczono wolno, by uniknąć zemsty. Siedzibę Niemców zwaną "rakarnią" podpalono.

Gdy świtało, Ryś zawiadomił Orła, że Niemcy zapewne w odwecie podpalili jego rodzinną wieś. Z dalszych kart powieści dowiadujemy się, że zemsta była bardziej okrutna. Niemcy rozstrzelali ojca Orła, żonę i trzyletniego synka dowódcy.

Tymczasem Krzysztof nie umiał już żyć bez Weroniki. Zachowanie ostrożności nie sprzyjało częstym ich kontaktom. "Rwało się młode serce" Krzysztofa do Weroniki.

Następny rozdział powieści stanowi logiczną konsekwencję poprzedniego.

Do posterunku żandarmerii w "Palace" przybywa Wiktor. Był on u Niemców "Schreiberem" (pisarzem), co było jednak tylko wojennym kamuflażem. Do tej roli Wiktora wytypował wcześniej Piotr.

Na korytarzu katowni górale czekali na przesłuchanie. Niemcom wyraźnie zależało na szybkim schwytaniu członków oddziału Orła. Groźba rozszyfrowania wszystkich była realna i dotyczyła także Weroniki.

Wiktor odbył konspiracyjne spotkanie z Piotrem, Bernardem oraz Aleksandrem, który kierował miejscową mleczarnią.

Za schwytanie dowódcy Orła Niemcy wyznaczyli nagrodę. Mogli się na nią złapać ludzie kolaborujący, choć nieliczni na Podhalu. Należało niezwłocznie działać, ostrzec ludzi, czas był gorący.

W domu górala Bielasa Piotr spotkał ważną w całej powieści (także prawdziwą historycznie) postać. Był nim Robert Wegner⁷. Pochodził z okolic wołyńskiego Kamieńca. Przed wybuchem wojny był nauczycielem języka polskiego. Miał rzekomo duszę artysty. Twierdził, że zrobił to, *co każdy zrobić powinien*. Okazał się zdrajcą, który współpracując z gesta-

po naprowadził na tropy, rozpracował siatkę oddziału i w głównej mierze przyczynił się do zlikwidowania grupy Orła.

Tymczasem z radiowego nasłuchu zdobyto informację, że III Rzesza zaatakowała ZSRR. Był więc czerwiec 1941 r. Dla powieści wynika stąd moment istotny – echa wielkiej wojny, sytuacja europejska, wreszcie orientacja czasowa akcji utworu.

Radio włączone na strychu podało:

Dziś o świcie, to jest w dniu 21 czerwca 1941 roku, w rocznicę kapitulacji Francji Hitler bez wypowiedzenia wojny uderzył na Rosję (s. 114).

W willi “Palace” Niemcy wzmoгли akcje przeciwko góralom-partyzantom. Powodem były działania, jak: zabicie niemieckiego oficera, rozbicie i spalenie posterunku, napady na niemieckie urzędy, przechwytywanie kontyngentów żywnościowych, które mieli przejąć Niemcy, niechęć górali do podpisywania listy “Gorallenvolku”.

Kat z “Palace” Weissman otrzymał z Krakowa telefoniczny rozkaz o kryptonimie “Aktion Halabarda”. Oznaczał on zniszczenie partyzantów w górach. Więźniowie “Palace” byli zamykani w celach z drzwiami okutymi blachą. Do tortur w piwnicach wykorzystywany był głupawy osiłek, Polak z Gorallenvolku – Mazurkiewicz. Weissman miał ambicję uczynić z Konfederacją Tatrzańską “Schluss” (koniec).

Chłopcy z oddziału Orła nie dali się zastraszyć, akcje prowadzili bravurowo i skutecznie. Sam dowódca nie załamał się mimo bestialstwa dokonanego na jego najbliższych (ojciec, żona, synek).

Gazetki przygotowywano jak dawniej i jak wcześniej kończył się czerwcowy dzień 1941 roku. Rano chłopcy natknęli się na niemiecki patrol, lecz mieli wiele szczęścia, do strzałów nie doszło.

Powróćmy jednak do drugiego z wątków, miłosnego.

Krzysztof bardzo aktywny w różnych akcjach rzadko spotykał Weronikę. Takie były nakazy konspiracji. Wpadał tylko na krótko. Stęskniona Weronika postanowiła więc udać się pod Turbacz, by odwiedzić Krzysztofa w kryjówce. *Nawet nie wiedziała, że tak można się zakochać* — myślała i coraz wyraźniej czuła potrzebę swego młodego serca. Podobne sceny wypełniają rozdział piąty i szósty utworu.

Jak już wcześniej zasygnalizowałem, w rozdziale siódmym akcja przeciwko oddziałowi Orła przybierała na sile, rozszerzała się. Młodym bojownikiem i góralom wydawało się mimo to, że trwa niczym nie zamącone

życie. W domu górala Smyrgały odbywa się zabawa, dyryguje kapelą kudłaty Mylka. To odbywa się wesele Rysia z Małgosią, Smyrgałową córką. Koledzy przybyli w komplecie: Piotr, Orzeł, Wiktor, Weronika, Zosia. Nieobecny był tylko Krzysztof. Miał zapewne wykonać pilniejszą "robotę". W czasie wesela góralskiego jeden ze starszych górali gwarą opowiedział legendę związaną z pytaniem, kiedy będzie koniec wojny:

Jesce śpiący rycerz na Giewoncie się nie ocknął. Musi nastąpić taka strzylanina i grzmoty, że góry trząść się zacną, wtedy się przebudzi. Weźmie miec scyrozłoty, schowany kajś we wnętrzościach Tater, stuknie w skałę, pęknie góra i wywiedzie z niyj swoją drużynę. I wtedy zanie się taka rzeź, że krew popłynie...

Weselnicy nie stronili od żartów i komicznych scenek. Państwo młodzi cieszyli się chwilą szczęścia. Wojenni towarzysze Rysia Świstak i Szpak przywieźli też prezenty ślubne: trzy pękate gąsiory spirytusu, świeżo upieczonego barana, spore, tekturowe pudełko a w nim tekturową obrączkę i baranie rogi. Orzeł podarował panu młodemu visa, a Weronika wręczyła pani młodej korale. Przy okazji doszło do komicznej awantury, bowiem baran wręczony jako prezent pochodził z zagrody Smyrgały, ojca Małgosi.

Beztrroski nastrój wesela nie mógł jednak trwać zbyt długo. Atmosfera rzeczywistości na zewnątrz robiła swoje:

Przeżywamy rzeczy straszne, nie mieszczące się w ludzkiej świadomości, jeszcze nigdy człowiek nie upadł tak nisko i nie okazał się dla naszego bytu narodowego, jak i całej ludzkości tak groźny jak dziś. A mimo to wierzymy, że będzie Polska, bo ona jest w nas (...). Wiara w Polskę, w sprawiedliwość wbrew logice i zimnemu wyrachowaniu kazala nam założyć Konfederację Tatrzańską, redagować gazetki (...). W twardym i nieustępliwym boju każe jednocześnie pamiętać, że jest się człowiekiem (...). Polak musi być czysty, rycerski i prawy. Krzysztof nazwałby to poezją, romantyzmem (...). A wy kim jesteście, jak nie romantykami, romantycznymi Janosikami? (s. 144).

Tak oto autor uczynił nawiązanie do wcześniej pojawiających się ideowych konfrontacji odnośnie wyboru form walki z okupantem. Te słowa wypowiedział Piotr⁸. Można je uznać za zwięzłe wyrażony manifest programowy oddziałów walczących na Podhalu.

Weronika jednak patrzyła w kierunku Turbacza: *Tam jest Krzysztof. Nie przyszedł...*

Miłość narastała w niej jak przyływ, lecz nie odchodziła, wzbierała ciągle. Czekwała spełnienia?

Kamień został zamordowany wraz z kolegami (rozdział VI). Orzeł po-przysiągł walkę do końca, był zdeterminowany i zdecydowany. Nie miał już nic do stracenia.

W rozdziale ósmym dotarła do niego wiadomość o zdradzie ze strony Wegnera (patrz przyp. 7.). Oddział postanowił szybko się spotkać jako “piątka”⁹, czyli aktyw grupy Orła. Materiał dotyczący zdrady był tylko poszlakowy, brakowało dowodów. Piotr zajmował ostrożne stanowisko, nie chciał działać pochopnie. Powtarzał słowa znane z twórczości Żeromskiego, że “człowiek to rzecz święta i nikomu go krzywdzić nie wolno”. Przeciwnie sądzili Bernard i Wiktor. Byli za natychmiastowym wyrokiem śmierci dla konfidenta Wegnera. Weronika rozważała problem:

Podhale to drzwi na szeroki świat (...). Niemcy mają tu konfidentów więcej niż gdzie indziej (...), różnie się ludzie zachowują w różnych sytuacjach i różne są reakcje ludzi na strach, ból, niebezpieczeństwo (s. 161).

Zwróćmy uwagę, że proza wojenna dostarczyła bardzo wiele przykładów konkretnych zachowań ludzkich np. w obliczu bólu, cierpienia fizycznego, choćby w znanym opowiadaniu “Przed sądem” J. Andrzejewskiego.

Po całonocnej dyskusji “piątka” pod wpływem sugestii Orła wydała wyrok – Wegner “musi iść na rozwałkę” W głosowaniu jednak grupa podzieliła się. Za wyrokiem śmierci dla zdrajcy byli Orzeł, Wiktor, Bernard i Weronika. Piotr był ostrożny w sądzie. Ustalono ostatecznie, że rozstrzelanie Wegnera “jak żołnierza” nastąpi o dwunastej, w połowie drogi od Turbacza, koło Czartkowskiej Skały.

Na skutek zdrady nastąpiły liczne aresztowania w szeregach walczących konfederatów, także w Związku Walki Zbrojnej i Batalionach Chłopskich.

Z “piątki” Orła ocalała Weronika, Aleksander i Krzysztof, któremu udało się uciec z transportu. Piotr, Wiktor i Bernard byli torturowani w katowni “Palace” w Zakopanem¹⁰.

Weronika postanowiła za wszelką cenę spotkać Krzysztofa. By go ujrzeć, musiała odbyć niebezpieczną wędrowkę. Nie mogła dotrzeć inaczej, jak tylko przy pomocy znajomego lekarza, którego musiała szantażować, gdyż był oporny. Krzysztof miał silne odmrożenia spowodowane ucieczką i długim marszem przez śnieg i mróz. Już dziesięć dni leczył rany w kryjówce. Przyprawiony prawie siłą lekarz dawał niewielką nadzieję.

Lecz po kilku dniach nastąpiła poprawa. Wracał świadomość: *Czyja to chusteczka — wskazał oczyma na kolorową szalówkę wiszącą na krześle* (s. 210).

Tytułowy talizman Weroniki powrócił, a spotkanie z ukochaną było dla Krzysztofa ozdrowieniecze. Weronika składała piękną przysięgę: *Mój złoty chłopcze, nie odejdę już od ciebie (...), zamknęła oczy i lkała cichutko z przyływu szczęścia i niedoli* (s. 211).

Fragment ten nieodparcie zwraca uwagę na swój głęboki liryzm, są to słowa miłości czystej, pięknej. Jest to fragment porównywalny z pięknymi kartami “Wiernej rzeki” Żeromskiego. Weronika i Krzysztof nie są wcale mniejsi uczuciem niż piękna Salomea Brynicka i jej ukochany, powstaniec styczniowy Odrowąż. Sama atmosfera sceny z “Chustki Weroniki” i jej okoliczności przypominają zimową rekonwalescencję powstańca i przepiękną miłość, o której mistrz Żeromski umiał napisać jak mało kto.

W następnym, dwunastym rozdziale widzimy, że Krzysztof szybko dochodził do względnego zdrowia. Nadeszła wiosna, która odradzała wszystko, co młode i piękne. Wtedy przyszła szybciej niż zwykle. Krzysztof zaczął snuć plany. Chciał urządzić młyn z dwóch wielkich kamieni. Ukochana miała w jego zamysłach na czasy wspólnego szczęścia zostać “piękną młynarzówną”:

*Wierz mi, miałem kolegę, którego ojciec był młynarzem. Jeździłem do niego na wakacje. Młyn był wodny, taki jak z bajki, z jednym gankiem na mąkę i kamieniami na razówkę (...). Interesował mnie. Siedziałem nieraz w młynie, łowiąc węgorza w turbinie lub uczyłem się zasypywać ziarno do kamieni młyńskich...*¹¹ Motyw młyna wodnego jest w twórczości Dyksińskiego częstszy.

Lecz – jak bywa nie tylko w literaturze – jest to scena zbyt piękna, by mogła przemienić się w rzeczywistość. Uroda tej sceny już może zapowiadać katastrofę. Poczucie przyszłego szczęścia w niekonkretnej przyszłości jest nie tylko idealne i piękne, ale naiwne, złudne.

Pozwólmy jednak, niech trwa chwila...

Weronika przyniosła marzącemu kochankowi lakierki. Kiedyś, gdy go poznała, droczyła się, że żołnierz w lakierkach (w górach!) to dziwoląg. Krzysztof kocha życie, ucieka dlatego w sferę nierzeczywistej przyszłości od okrutnej teraźniejszości. Wspomaga go Weronika:

(...) nie podziękowałem ci za lakierki.

— Podziękujesz... na balu w Wolnej Stolicy, w Warszawie.

— Tak mówiłeś, pamiętasz?

Był lipiec, słoneczne dni, z nieba lał się żar, czuli zapach żywicy, chleba i miodu:

Popatrz, dziewczyno, bo mówić nie trzeba, jaki jest ten świat — zatonął szeroko ręką — i życie mogłoby być równie piękne i szczęśliwe, gdyby nie ludzie... (s. 222)

To jest zabawne, ale czy nie uważasz, że jesteśmy podobni do Rafała i Heleny z "Popiołów". Żeromski to mój ulubiony pisarz — dodała. — Różnica między nami a nimi jest taka, że tamta para była fikcją literacką (...); a my jesteśmy rzeczywistością (s. 222).

Niestety, byli też fikcją powieściową, dodajmy konieczny dysonans.

Przez chwilę milczeli, wsłuchując się w lekkie powiewy jodeł szumiących górą. Potem Krzysztof nachylił się nad dziewczyną i szepnął: — I kochasz mnie tak jak Helena Rafała?

I jeszcze jeden z istotnych momentów:

Śnijmy! — rzekł patrząc na nią — i niech nikt nas nie budzi (s. 224).

Więc "śnili" swój "sen o przyszłości". Nie liczyło się, że ów "sen" działał obok rzeczywistości wojennej. Osaczyła ich ona i sen przerwała jak marzenia w opowiadaniu T. Borowskiego Tadeuszowi i Marii ("Pożegnanie z Marią").

Organizacja pod wodzą Orła przestała istnieć. Jednych aresztowano, inni, ostrzeżeni na czas, opuścili Podhale.

Siatka szpiclów wciąż działała. Rodzinę Weroniki Niemcy wywieźli w nieznane miejsce. Ten sam los spotkał Zosię i Dankę. Gestapo ciągle ścigało Krzysztofa. Dowódca Orzeł walczył nadal, współpracując teraz z innymi oddziałami.

Szczegóły kolportażu gazetki zostały podane w rozdziałach wcześniejszych (IX-X). Jest tam mowa o tym, że Weronika była zmuszona wraz z Danką podróżować z narażeniem się aż do Krakowa, przemierzać na nartach dróżki górskie dobrze sobie znane, uciekać ciągle przed gestapo. Wydarzenia te działy się we wsiach: Spytkowice, Jordanów, Pyzówka, Żeleźnice, Polanka, Bielawka.

Omówiona wyżej scena z leżącym i chorym Krzysztofem miała miejsce w końcu rozdziału dziesiątego. Stary góral Jan Okrasa wtajemniczał Weronikę:

(...) mamy tu kogoś. Ukrywa się (...). Przyszedł dwa dni temu, a właściwie przywieźli go. Pożal się Boże, jak on wygląda. Opowiadał coś o areztowaniach, ale gorączka go zmogła (...). Podobno z gestapo uciekł. Leżał boso po śniegu. Przywieźli go saniami. Był ukryty w sianie (...).

W chybotliwym blasku świecy ujrzała na łóżku obwiązaną lnianymi szmatami głowę jakiegoś mężczyzny. Podeszła bliżej. Leżący poruszył się i zaczął coś mamrotać w malignie. Dziewczyna pochyliliła się nad nim i nagle krzyknęła przejmującym głosem:

— O, Boże, przecież to Krzysztof! (s. 201)

Niezgodność z przebiegiem akcji w odniesieniu do tej sceny została przez mnie zastosowana celowo. Chodziło mi o jej uwydatnienie i zarazem wskazanie na konotacje literackie z “Wierną rzeką”. Ponadto ta scena nieco by burzyła nastrój “snu o miłości” przedstawionej jakby w swej ciągłości niczym nie zmaconej. Była to chwila, która lepiej, by trwała...

“Sen” Weroniki i Krzysztofa (Cedro?!) trwał w swym pięknie:

Nie należeli do tamtego potwornego świata. Utworzyli swój własny, czysty, pełen uroku i niewysłowionego szczęścia (...).

Wybudujemy sobie domek z drzewa, będzie pachniał żywicą... (s. 227-228)

Krzysztof zrobił swej “Helenie” pierścionek ze złotej polskiej słomy. Był to ich “ostatni walc”, ostatni wieczór. Wkrótce mieli wyjechać daleko, na wyspy szczęśliwe...

Boję się przebudzenia...

Ostatnie zdanie zapowiada zburzenie chwili, spłoszenie urody marzeń. W ten oto sposób powieść wchłania pewien problem filozoficzny i humanistyczny zarazem. Pragnienie trwania i miłość są biologicznym sensem życia. Wszystkie inne pragnienia, motywacje i sensory życia zostały wymyślone wtórnie – twierdzi W. Sedlak¹². Prócz silnie ukrytej w istocie ludzkiej motywacji wynikającej z potrzeby trwania, wspartej dodatkowo miłością rozumianą humanistycznie jako istotnej treści życia upragnionego, pożądanego, pozostałe sensory są już tylko wariantami dodanymi do tej głównej motywacji.

“Przebudzenie” nastąpiło teraz. Gestapowcy łomotali do drzwi. Weronika zdążyła uciec przez okno, lecz wkrótce została ujęta. Katowano ją. Krzysztofa skuto łańcuchami, leżał obok ukochanej. Leżeli obok siebie, jak zranione ptaki, schwyte w sidła...

Dramatyzm chwili osiągnął w powieści swą kulminację. Brutalność i bestialstwo faszystów zabiło w nich prawo do szczęścia. Teza Z. Nałkowskiej z motta do „Medalionów” – „Ludzie ludziom zgotowali ten los” – nabrała wymiarów konkretnych w powieści St. Dyksińskiego. Według innego kontekstu literackiego (Borowski) Krzysztof i Weronika byli „winni”. Ich wina polegała na tym, że „dali się złapać”¹³.

Staruszka Okrasowa, która była w pobliżu aresztowania Weroniki i Krzysztofa po raz ostatni użyła wojennego talizmanu – pomachała im na pożegnanie „chustką Weroniki” i zmówiła patriotyczną modlitwę. Wóz ze schwytanymi „ptakami” marzącymi o szczęściu i wolności odjeżdżał do katowni „Palace” (w opowiadaniu T. Borowskiego – analogicznie – buda gestapowska odwozi Marię do Oświęcimia).

Co mnie czeka...

Ale może nie rozstrzelają? Może wyślą do obozu?

Boże, żeby tak dostać się tam, gdzie jest Zosia, Danko, Piotr.

A może... (s. 235)

Powyższe słowa wypowiedziała Weronika już za kratami katowni „Palace”.

Nie wiedziała, co z Krzysztofem. W celi, skatowana, nasłuchiwała, czy nie usłyszy jego głosu.

Wtedy esesman przyprowadził do jej celi dziewczynkę, Żydówkę. Opowiadała Weronice, że *mamę i tatę zabrali jacyś panowie...* Rozalka wierzyła dziecięco, że „ci panowie” zawiozą ją do mamusi. Wkrótce Weronika usłyszała na podwórzu dwa strzały. Rozalka nie żyła.

Widać tak musi być. Taki los, wszyscy zginiemy...

Więc nie ma nic? Wszystko jest złudzeniem?...

O kogo się oprzeć? (...) Dlaczego Bóg nie zetrze w proch tych, co dopuszczają się takich zbrodni? (s. 245)

Dlaczego „śpiący rycerz” na Giewoncie jeszcze się nie ocknął?

Weronika przebywała w celi dwa miesiące. Zbudził ją pewnej nocy jak z letargu gestapowiec i poprowadził do wyjścia. Na podwórzu „Palace” ujrzała Weissmana i innych. Wtedy spostrzegła, że na ziemi leżał skatowany Krzysztof. Gestapowcy rozkuli go i kazali uciekać. Metoda była identyczna, jak wobec Żydów. Stosowali „bieg do śmierci”.

Nie, nie, nie uciekaj! Nie uciekaj! Zabiją cię! Mordercy! Zbrodniarze!

— Werka, Werka, nie bój się, to chwila. Puszczą nas...

To ostatnie słowa dwojga bohaterów powieści. Ciało zastrzelonego se-

rią Krzysztofa gestapowcy włożyli do skrzyni. Po południu przyszedli po Weronikę i zmusili, by dołączyła do innych na ciężarówce. Jazda trwała długo.

Późnym wieczorem samochód zatrzymał się. W okna zajrzał ostry błysk reflektora, słychać było szczekanie psów, głosy ludzi. Kazano im wysiadać. Weronika wyszła ostatnia. Zobaczyła, że samochód stał przed wysoką, odrutowaną bramą, nad którą wisiał olbrzymi napis ARBEIT MACHT FREI – AUSCHWITZ.

W sumie fabuła “Chustki Weroniki” jest zajmująca, na co wpłynął znacznie wątek miłosny. Samo ograniczenie się wyłącznie do zbeletryzowania dziejów Konfederacji Tatrzańskiej byłoby może zbyt sztampowe, batalistyczne.

Jeśli chodzi o genezę powieści, to ślady prowadzą do przynajmniej paru źródeł i okoliczności jej powstania.

Jak ustalono¹⁴, St. Dyksiński i jego brat ppor. Klemens Dyksiński w sierpniu 1941 r. zmuszeni byli ratować się ucieczką, by uniknąć aresztowania w Bieżuniu. Poprzez Pułtusk i Warszawę pisarz dotarł do Mielca, później do Wadowic w Generalnym Gubernatorstwie.

Pod przybranym nazwiskiem Adalbert (Wojciech) Rola osiedlił się w Wadowicach Górnych, następnie w Węgrzycach Wielkich.

Pracował tu jako ogrodnik, prowadził też tajne nauczanie jako nauczyciel wiejski¹⁴.

Współredagował pismo konspiracyjne “Na Placówce” i brał udział w akcjach bojowych. W 1943 r. dotarła do Wadowic jego żona Jadwiga z córeczką Wiesławą. Również ona posługiwała się nazwiskiem Rola.

Autor “Chustki Weroniki” tak wspominał w rozmowie z czytelnikami pobyt na Podhalu:

Kto czytał lub będzie czytał “Chustkę Weroniki”, a zna autora, może postawić sobie pytanie: skąd u cepra, człowieka całe życie związanego z nizina Mazowska, zrodził się pomysł napisania książki o ludziach z Podhala...

Gdzieś na przełomie 1945 i początku 1946 r. przebywałem krótko w tamtych okolicach. Poznałem Weronikę. Przed kilkoma miesiącami wróciła z Oświęcimiami i z miejsca zabrała się do pracy pedagogicznej. Podziwiałem jej niespożyte siły, entuzjazm do pracy. Łączyło nas wiele – wspólne lata konspiracji, ideały wiciowe, wychowawcze, ruch ludowy. Ona prowadziła UL na Podhalu, ja w Grzmiącej w woj. warszawskim (...). Jednak Weronika nie miała szczęścia w życiu (...). W walce tej prawie wszyscy zginęli, ocalała

małeńka grupka (...). Zjeździłem całe Podhale, odwiedziłem miejsca walk, spotkań na bacówkach, schroniskach, przeprowadziłem wiele rozmów...

Forma utworu – tradycyjny zapis literacki – odpowiada tradycyjnemu tematowi.

Wielu wybitnych (...) a przede wszystkim młodych pisarzy odchodzi częściowo od tradycyjnych form powieści do form krótkich (...), bo współczesny czytelnik nie znosi dłużej, opisów, jest niecierpliwy, dąży do pointy (...) ¹⁵.

Uzupełnijmy jeszcze powyższą informację faktem, że przyszły autor „Chustki Weroniki” znał osobiście Stanisława Leczykiewicza, który zebrał bogaty materiał o Konfederacji Tatrzańskiej ¹⁶.

Pobyt St. Dyksińskiego w górach trwał do czasu wkroczenia do Polski wojsk radzieckich w styczniu 1945 r.

Zatem w górach, na wysiedleniu, autor zdobywał materiał faktograficzny. Stąd więc – jak podkreślał wydawca – dużo realiów, prawdy historycznej, zdarzeń nie zmyślonych, choć i tych ostatnich w powieści, już z istoty beletryzacji historii, ileś może być, są uprawnione z racji gatunku.

Warstwa realistyczna, historyczna, dominuje w powieści, mimo, że wątek fikcyjny (miłosny) jest rozbudowany i stanowi swoisty „ozdobnik” utworu, bowiem starsze konwencje literackie (tradycyjne, wypracowane w okresie dwudziestolecia i wcześniej) „przeszkadzały przy pisaniu o czymś tak innym jak okupacja” nawet „wytrawnym” pisarzom, jak Z. Nałkowska ¹⁷.

W „Chustce Weroniki” uważnemu czytelnikowi uda się zauważyć psychologizm w konstruowaniu postaci, szczególnie pierwszoplanowych: Weroniki, Krzysztofa, Orła. Miłość, tęsknoty i marzenia, drgnienia młodych serc, głębia uczucia, młodzieńcza naiwność wobec rzeczywistości okupacyjnej, to argumenty przemawiające za takim – psychologicznym – ujmowaniem istoty ludzkiej. A to przecież nakierowuje uwagę na rodowód jeszcze wywodzący się z nurtu prozy psychologicznej, tak obfitej w okresie 1918-1939.

Nie mniej ważna, jak zwracałem uwagę, jest warstwa realnej, historycznej rzeczywistości. Stanisław Dyksiński miał dość wiedzy o wojnie na Podhalu, by mogła powstać książka. Wcześniej niż powieść ukazały się prace historyczne, dobrze udokumentowane, by wymienić: St. Leczykiewicza „Konfederacja Tatrzańska” (1979), A. Filara i St. Leczykiewicza „»Palace« katownia Podhala” (1962) oraz później wydaną pozycję A. Fi-

lary "U podnóża Tatr 1939-1945" (1985).

Czy autor "Chustki Weroniki" znalazł te książki, szczególnie czy czytał pracę o "Palace", gdzie katowano całą walczącą na Podhalu młodzież? A jest to kopalnia wiedzy o tamtych zdarzeniach.

W pracy "»Palace« katownia Podhala" czytamy wspomnienie jednej z walczących na Podhalu osób – Stanisławy Zawiły (z d. Apostoła):

Działalność Konfederacji Tatrzańskiej opierała się na zasadzie współpracy trzech tylko osób, które znały się. Ja pracowałam z mężem moim, Tadeuszem Zawilą i Tadeuszem Popkiem. Przypominam sobie, że w moim mieszkaniu omawiana była sprawa niejakiego Wegnera, co do którego zaistniały podejrzenia, że pozostaje na usługach gestapo i ma za zadanie rozpracowanie naszej organizacji. Podjęta została decyzja zlikwidowania Wegnera i wyznaczono nawet wykonawców wyroku, ale nie został on wykonany, w kilka bowiem dni później zostaliśmy aresztowani¹⁸.

W zestawieniu z powieścią widać pewne rozbieżności. Przede wszystkim oddziały Konfederacji Tatrzańskiej kierowane były przez tzw. "piątki". Po drugie – imię Weronika jest literackie, bowiem pisarz za wzór tej postaci wziął Jadwigę Apostoła. Podobnie literackie imię Krzysztof to odpowiednik osoby Tadeusza Popka, sygnalizuje wyżej przytoczona relacja. Jeśli chodzi o pozostałe powieściowe postaci, sprawa ma się podobnie. Niektóre są prawdziwe, na co wskazują pseudonimy, niektóre zostały ujęte w wersji literackiej.

Skonfrontujemy obecnie moment aresztowania Weroniki i Krzysztofa w powieści z wersją historyczną:

Zapytali, czy to Jadwiga, której oni szukali. Następnie synowi gospodarza, Władysławowi Słoninie, kazali przynieść sznur, którym skępowali dziewczynie obie ręce i przywiązali do nogi (...). Tutaj czekali już skuci kajdanami Tadeusz Popek i Mieczysław Kłapa (...). Po rewizji w mieszkaniu całą trójkę wyprowadzili przed dom i wszystkich razem związali liną (...).

Aresztowanych załadowano na wóz i w pozycji siedzącej przywiązano sznurami do drabin (...), obrzucali schwytych wyzwiskami, naigrawali się. Dokuczali szczególnie Jadwidze, parokrotnie zapewniając ją, że już nigdy nie zobaczy swoich rodziców.

W Więciurce kazali Słoninie wracać do domu. Zwrócili mu też sznury. Nie były już potrzebne, więźniowie mieli przecież na rękach kajdany (...). Do "Palace" przywieźli ich wczesnym rankiem i kazali stać w holu twarzą

do ściany (...). Wkrótce całą czwórkę odprowadzono do cel mieszczących się w podziemiach "Palace". Tu dopiero Jadwiga dowiedziała się, w jaki sposób gestapowcy wpadli na jej ślad. Aresztowali po prostu sąsiadkę, która pod groźbą rozstrzelania jej wraz z matką przyznała się, że wie, gdzie przebywa poszukiwana. Dalszy bieg wydarzeń nastąpił już szybko.

Trzeciego dnia od chwili aresztowania, umówionym systemem sygnałów przekazał Popek wiadomość, że jest w celi, przykuty łańcuchem do ściany i że śledztwo już się rozpoczęło (...). Wiedział już, iż grozi mu kara śmierci.

Tak brzmi relacja świadka zdarzenia.

Później mamy już relację samej Jadwigi Apostoł – powieściowej Weroniki:

Po czterech tygodniach od zatrzymania zostałam wprowadzona do innej celi, przy czym gestapowcy polecieli mi usiąść na oknie i patrzeć (...). Była noc (...).

Pod ścianą zobaczyłam niską sylwetkę ludzką, chyba kłęczącą. Następnie padły strzały i ten człowiek przewrócił się (...).

Inny z gestapowców rzucił mi ręcznik i dodał: "To dla ciebie pamiątka". Poznałam, był to ręcznik Tadeusza. Zorientowałam się wówczas, że Popek nie żyje i że to jego rozstrzelano w nocy.

Istotny jest jeszcze jeden moment innej relacji:

Ostatnie przesłuchanie należało do gestapowca Koeniga i odbywało się w dyżurce. Kazał on wymienić nazwiska osób przebywających jeszcze na wolności, które znała Jadwiga. Wymieniła Wegnera, nie mówiąc, oczywiście, że domyśla się jego roli. Koenig rzucił do telefonu jakieś polecenie i oto po kilku minutach ukazał się w okienku dyżurki ten perfidny konfident. Koenig zapytał Jadwigę, czy poznaje go.

— Tak, to on — odrzekła. Wówczas Wegner rozpoczął z Koenigiem przyjacielską pogawędkę, z której zdołała zrozumieć tylko tyle, że umówili się na wspólną kolację (...).

Wreszcie moment fabuły występujący w powieści, gdy aresztowana Weronika miała za towarzyszkę w celi żydowską dziewczynkę w wersji Jadwigi Apostoł:

Do celi mojej (...) gestapowcy wprowadzili dziewczynkę mającą około ośmiu lat. Była Żydówką. Na korytarzu widziałam dorosłą Żydówkę w podartej sukni i pokrwawioną.

Dziewczynka mówiła mi, że to ciocia, którą zbili Niemcy.

Po chwili zabrał ją z celi gestapowiec Blaude.

Dziewczynka wróciła z cukierkami na ręczce. Mówiła, że Niemcy, którzy z nią rozmawiali, byli dla niej dobrzy, więc powiedziała im, że jest Żydówką.

Wieczorem, gdy położyłyśmy się spać, do celi wpadł Blaude. Dziewczynkę kazał ubrać. W rękę miał latarkę, a rewolwer u pasa. Gdy chciałam małej założyć buciki, powiedział, że nie potrzeba. Zabrał dziecko z sobą (...).

Przywołane fragmenty relacji uściślają wersję autentyczną w porównaniu do literackiej, powieściowej.

Jadwiga Apostoł istotnie została wywieziona do Oświęcimia. Obóz przeżyła i w roku 1946 na cmentarzu w Zakopanem zidentyfikowała zwłoki Tadeusza Popka – powieściowego Krzysztofa. Wtedy to grabarz przez pomyłkę rozkopał sąsiedni grób, w którym były zwłoki kobiety z dzieckiem. “Po sukience poznałam – dodaje J. Poppek – dziewczynkę z mojej celi”.

Po konfrontacji książki St. Dyksińskiego ze źródłem łatwo zauważyć, w jakim kierunku zmierzała koncepcja powieści. Poszła ona w kierunku bardziej romantycznego ujęcia losów Weroniki i Krzysztofa. Takie są jednak prawa literatury pięknej do modyfikowania faktów czerpanych z historii. Zresztą autor powieści pozostawił czytelnikowi dużo tropów, sygnałów, by autentyzmu nie zatracić, a jednocześnie stworzyć utwór własny.

Aby wyczerpać okoliczności genezy powieści, jej podłoże historyczne, dodajmy jeszcze wiadomości z historii tego miejsca i czasu.

Konfederacja Tatrzańska, do której należeli bohaterowie “Chustki Weroniki” powstała później niż przypada początek akcji utworu (1 września 1939 r.). Członkowie Konfederacji początkowo należeli do SL – “Roch” i ZWZ-AK. Dopiero w maju 1941 r. spośród byłych członków wymienionych organizacji powstała antyhitlerowska organizacja wojskowa – Konfederacja Tatrzańska. Siedzibą były początkowo Szaflary. Głównym założycielem był Augustyn Suski (pseudonim Stefan Brus), a jego zastępcą Tadeusz Poppek. Sekretarzem i jednocześnie skarbnikiem była Jadwiga Apostoł. Organizacja nie miała (jak w powieści) siedziby “pod Turbaczem”. Miejsce było zmieniane ciągle, co wynikało z konspiracyjnego przymusu.

Organizacja miała swój statut składający się z 11 rozdziałów i 49 artykułów szczegółowych. Była podległa rządowi polskiemu na emigracji. Cele, które miała realizować sformułowano ogólnie tak:

Niepodległa Polska demokratyczna, utwierdzenie Polski i polskości w duszach i sercach Polaków na każdym odcinku życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego, tworzenie bojowych kadr, będących podstawą do

przyszłej walki orężnej z okupantem, zwalczanie Niemców i niemieckości w każdej dziedzinie oddziaływania¹⁹.

Wcześniej zwracałem uwagę na duży autentyzm powieści wyrażający się w sferze prawdziwego tła, faktów historycznych, nazw miejscowych.

Autentyczne także, choć nie w pełni, są postaci. Tak np. dowódca Orzeł kierujący "piątką" konfederatów to literackie imię, lecz także autentyczna postać – Kazimierz Grzegorzewicz, aresztowany w 1941 r. Jego droga walki, podobnie jak Weroniki, wiodła z Podhala przez "Palace" do Oświęcimia.

Autentyczną postacią jest także Ryś, którego ślub stanowi w powieści epizod. Pod tym pseudonimem znajdujemy Stanisława Stachowca. Józef Olszański to powieściowy Kamień, a pierwowzorem Kruka był Władysław Urbańczyk.

Weronika i Krzysztof to także osoby prawdziwe, występujące w powieści w nieco innej, bo literackiej funkcji.

Wreszcie prawdziwe są postaci Niemców.

Robert Weissman istniał rzeczywiście.

W dwadzieścia lat po wojnie, w 1965 r., przed zachodnioniemieckim sądem we Fryburgu odbył się proces tego kata z "Palace" oraz jego zastępcy Arno Sehmischa. Weissmana skazano na pięć lat więzienia, zastępcę na siedem. Czy dosięgła ich w ten sposób sprawiedliwość?²⁰

Spotkać na swej drodze Weissmana, znaczy spotkać swoją śmierć. To ocena postaci dokonana przez Żydów.

Dwójkę głównych postaci z powieści też spotkała śmierć, lecz ta dwójka do końca wierzyła w istniejące niezależnie od faszyzmu uniwersalne wartości: piękna, miłości, humanizmu. W tym świecie powieści oni nie umarli, żyją. I to jest chyba najważniejsze przesłanie "Chustki Weroniki".

3.

Chronologicznie jako drugą z książek St. Dyksińskiego należy odnotować pracę dokumentalno-wspomnieniową pt. "Moja droga do uniwersytetu ludowego" wydaną w 1967 r. Nie jest to książka należąca do literatury pięknej. Stąd jej omówienie, a także pracę autora jako nauczyciela, społecznika umieszczam w ostatniej części swych rozważań, by nie burzyć przyjętej tu kompozycji.

Po "Chustce Weroniki" (1967) wyszedł zbiór opowiadań "Dziki gołąb". Jego tytuł pochodzi od tytułu opowiadania pierwszego. W zbiorze znalazło się pięć krótkich utworów. Są to: "Dziki gołąb", "Kolacja u pana kapitana", "Audjencja", "Satysfakcja" i "Trumniarz".

Dwa ostatnie utwory są związane z okresem drugiej wojny i zostały pod względem akcji umieszczone w Bieżuniu i okolicach. Są ponadto autobiograficzne, dlatego wypada poświęcić im nieco więcej uwagi.

Prześledzimy jednak te ciekawe opowiadania kolejno.

"Dziki gołąb" to historia mężczyzny, który nie umiał żyć w jednym miejscu i ciągle wędrował. W ludowym żargonie takich wiecznych pątników nazywano "rajzerami".

Nie nazwany z imienia wędrowiec uważał, że "życie jest niekończącym się szlakiem", każdy "czegoś pragnie, do czegoś zmierza". Ten obywatel przybywa nieoczekiwanie do młyna wodnego w miejscowości bliżej nieokreślonej. Oczywiście chodzi o Biezuń.

Akcja dzieje się w starym pałacu, który miał "dwa skrzydła przebudowane z dawnego zamczyska". Nieopodal były resztki murów obronnych. Dalej była "trzcina i kępy olch". Dawno temu była tu forteca, co widać po śladach aż trzech zwodzonych mostów. Teren pałacu, starego i zaniedbanego, jest niedostępny. Dookoła "kanały, trzęsawiska, karasie i liny". W pustych pokojach pałacu nowy zarządca urządzał zabawy z wódką. W pobliżu stał młyn wodny, lecz mógł on również produkować prąd elektryczny²¹.

Do tak określonego miejsca – zamczyska i młyna – przybywa brodaty wędrowiec o długich, kasztanowych włosach. "Mógł mieć (...) około pięćdziesiątki a może mniej". "Lewe ucho miał przekłute dużym, czerwonym kolczykiem", zaś szyję przewiazaną kolorową chusteczką.

Obsługę młyna wodnego wykonywali dwaj mężczyźni: narrator opowiadania (porte-parole autora) oraz robotnik młyński – niejaki Lubiński (postać autentyczna).

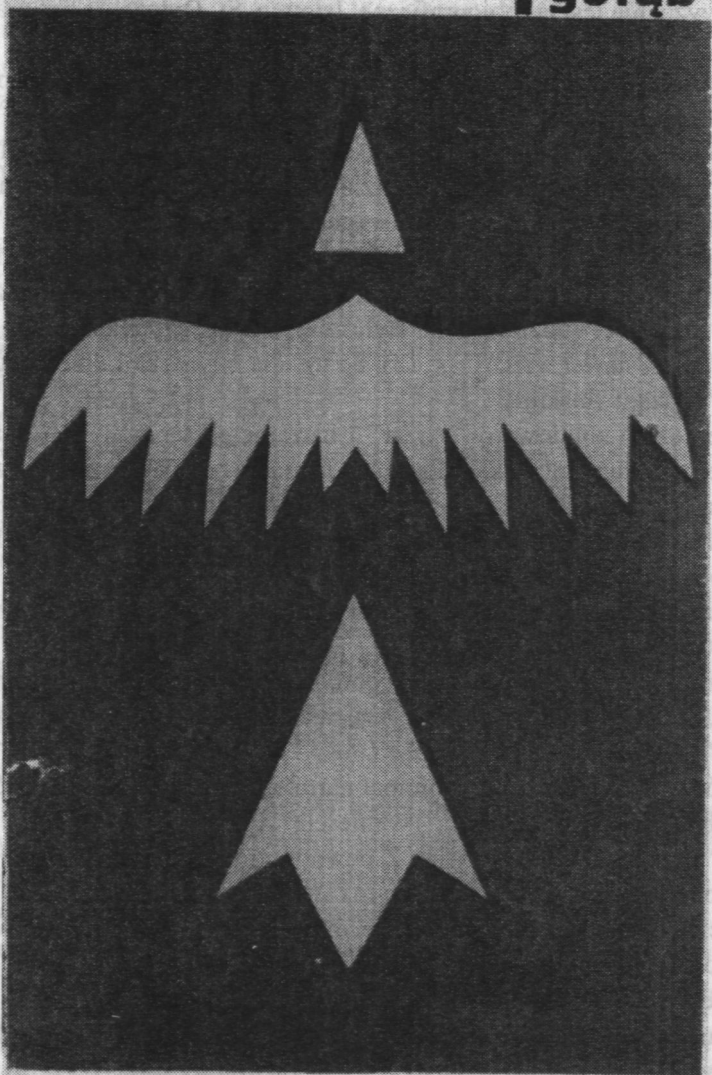
Tajemniczy "rajzer" wybijał kijem jakieś sobie tylko znane takty i od początku wzbudzał u dwu pozostałych pewien niepokój. Narrator np. zaczął obawiać się o swój autorytet, bo do tej pory "był tu pępkiem świata" (s. 14).

Już na początku narrator odkrywa czytelnikowi wnętrze swej duszy:

Śniły mi się nieraz dalekie podróże, rwące potoki, wezbrane rzeki, nieprzejrzane puszcze, wysokie turnie obdarte z zielonej miazgi, pokryte czapą śniegów. Wtedy spychówka²², która była dla mnie cudem świata, wydawała

Stanisław Dyksiński

**dziki
gołąb**



LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

Obwoluta zbioru opowiadań "Dziki Gołąb".

się nędną lupiną, fuzja śmiesznym rekwizytem teatralnym, a Wkra strużką powstałą z ulewnego deszczu. Rwało mnie coś w świat, ale życie trzymało mocno za kark. Miałem tu rodziców, dziewczynę, przyjaciół i pracę...

To wyznanie jest autobiograficzne. Istotnie, St. Dyksiński był pracownikiem młyna, lecz nie pracował fizycznie.

Owo wyznanie będzie przydatne później w interpretacji utworu, ponieważ przybysz-“rajzer” odnajdzie w ten sposób, poprzez spotkanie, istotę o wnętrzu sobie podobnym. Obaj będą marzyć o poznawaniu wielkiego świata, nasilać porywy swej wyobraźni o nieznanym i dalekim. Jednocześnie będzie ich odpychać szarość świata tu, w Bieżuniu.

“Rajzer” znalazł się w odpowiednim miejscu i towarzystwie. Trafił na swych słuchaczy i czuł się tu dobrze. U dwu pozostałych postaci szybko zdobył autorytet i budził respekt. Był dla nich “tym, czym ksiądz dla wiernych, a może nawet więcej” (s. 15), bo np. dla młynarza Lubińskiego był kimś w rodzaju “biskupa”.

Atletycznie zbudowany “rajzer” i narrator postanowili wykapać się w rzece koło śluzy młyńskiej. Płynęli pod prąd wody. Woda zaczęła znosić “rajzera” w miejsce niebezpieczne, mimo że był dobrym pływakiem. Groziło mu wciągnięcie przez turbinę. W niebezpieczeństwie był także narrator. Woda i wiry czyhały na swe ofiary.

Obu pływaków wyciągnął z opresji młynarz Lubiński, który przytomnie podał im długą tyczkę.

Po zejściu z niefortunną kąpielą pomocnik młynarza przyniósł z miasta wódkę, zakąskę i piwo. Uczczenie ocalenia odbyło się pod kasztanem. Przy wódce i piwie rozwiązały się języki.

Włóczęga (“rajzer”) przypominał narratorowi postać “Leonka, dziwaka, najbiedniejszego chłopca (...) w mieście”. Chciał wiedzieć, gdzie zmierzają ów wędrowiec, obieżyświat. Z pewnością tu, w młynie, nie zagrzeje długo miejsca, bo “dziki gołąb” nie ma swojego dachu. Widać było, że ma poczucie wyobcowania, alienacji, obcości w tłumie – jak u niektórych postaci romantycznej literatury, a także u klasyka tego typu prozy F. Kafki (“Proces”, “Zamek”).

“Rajzer”, natrafiwszy na pokrewną duszę narratora, robi się wylewny, odkrywa zakamarki duszy:

Czasem, kiedy wybrałeś, okazuje się, że to nie to, czego pragnąłeś. I wtedy całe życie pozostajesz przy tym wyborze, albo poszukujesz tego, co

nie ma nazwy, kształtu, ale wiesz, wiesz na pewno, że to istnieje, tylko nie wiesz, czy się z tym spotkasz (s. 31).

Szybko dodaje: *trzeba to czuć – nie rozumieć*. Czyżby była to romantyczna deklaracja?

Narratora jakby przebudziły dziwne słowa “rajzera”. Trafiły mu w odpowiednią nutę. Choć wcześniej przyznawał, że “miał tu swój świat” i “niczego więcej nie pragnął”, teraz uległ słowom tajemnym, zarazem takim, które dobrze nazywały owo “coś”. Tym bardziej, że było to zapisane w brulionie o czarnych okładkach, który “rajzer” udostępnił narratorowi. Były tam słowa:

Przyjdzie ta chwila do ciebie niespodziewanie. Pewnego dnia poczujesz na wargach jej smak, a w źrenicach dostrzeżesz barwę i kształt (...). Od tej chwili nie zaznasz już spokoju. Będziesz przemierzał szerokie i kryte gościńce, trakty, rzeki i łądy, poszukując tego skarbu. A kiedy będziesz się zbliżał do niego (...), wtedy stwierdzisz ze zdumieniem, że od dawna krył się w twoim sercu, tylko tyś o nim nie wiedział (s. 32-33).

Czyżby wyprawa po “kwiat paproci”? A może to “mare tenebrarum”, o którym pisali teoretycy modernizmu?

“Rajzer” spakował plecak i... powędrował dalej. Gdzie? “Albowiem czy kto wie, dokąd zmierza?” (D. Diderot, “Kubuś Fatalista i jego pan”).

Po ukazaniu się zbioru “Dziki gołąb” J. Maciejewski napisał recenzję. Zauważył, że w tradycyjnej mentalności ludu polskiego tego typu “obieżyświaty, pątnicy, powsinogi” otaczani byli specjalnego rodzaju szacunkiem i byli indywidualistami. Są pokrewni “powsinogom beskidzkim” E. Zegadłowicza. Krytyk dodał, że “istnieje cały nurt współczesnej prozy, która sięga do tego, co zamierzchłe”.

Za najwybitniejszych twórców takiej prozy uznał m.in. T. Nowaka, W. Myśliwskiego (był surowym recenzentem prozy St. Dyksińskiego), A. Czachorowskiego. Moim zdaniem można dołączyć jeszcze prozę Nowakowskiego i Stachury. Ze starszych autorów B. Schultza.

Recenzja Maciejewskiego była akceptująca, włączała też tomik Dyksińskiego w szerszy kontekst prozy o inspiracji legendowej, zasłyszanej staroci²³.

O “Dzikim gołębiu” wypowiedział się też S. Gołębiowski – poeta, prozaik, tłumacz Horacego związany z Bieżuniem i przez całe życie w miasteczku nad Wkrą mieszkający. Był przyjacielem St. Dyksińskiego.

Będzie o tym mowa w późniejszych fragmentach pracy.

Na kartce pocztowej opatrzonej datą 21 marca 1970 r napisał:

Drogi kolego Stachu, wczoraj przeczytałem “Dzikiego gołębia” i dzisiaj chcę się z Tobą podzielić uwagami. W prozie słabiej się orientuję, więc moje spostrzeżenia nie mają charakteru wiążącego. Zawsze druga książka najtrudniejsza, bo już jest sprawdzianem pierwszej. Wprowadza nowy motyw udziwnienia nie bez akcentów osobistych osadzonych w realiach dobrze mi znanych. Jedynie “Kolacja u pana kapitana” i “Audiencja” są poszukiwaniem jakiejś innej egzotyki na poły kryminalnej i makabrycznej. Łączy te dwie strefy rajzer z “Dzikiego gołębia” sytuacja podobną, jaką przeżyłem na łódce. Była to jazda popisowa wobec panien i dam z dworku Klimaszewskich²⁴.

Gołębiowski uznał też, że tomik jest za bardzo wielokierunkowy, tzn. że zawiera utwory dość różne, nie dobrane według jednej koncepcji oraz że “za bardzo obraca się w przyjętych konwencjach”.

Osądy tych dwu krytyków są dość podobne. Maciejewski kieruje swą uwagę ku całemu nurtowi prozy, Gołębiowski zauważa jakąś wspólną sferę “egzotyki”, z pewnością rodowodu ludowego.

Liczy się ten podwójny osąd, bo wydany został przez uważnych czytelników i zarazem znawców rzeczy.

Dla mieszkańców Bieżunia jako czytelników jest to utwór ważny, bo uwiecznia w sposób literacki osobliwość, jaką był “pałac”, młyn i woda Wkry, malowniczej i często groźnej.

Oдноśnie opowiadań St. Dyksińskiego wydano jednak i inną recenzję. Pojawiła się ona w związku z propozycją druku jeszcze innego zbioru opowiadań. Autor miał zamiar do pięciu wymienionych wyżej tytułów dołączyć następujące: “Profesor” (treścią miała być postać Stefana Gołębiowskiego), “Miła moja” (o Warszawie z lat 1905-1956) i “Naręczona wiatrów”. Do wydania takiego zbioru opowiadań nie doszło. Redaktor LSW zarzucił autorowi, że w wielu opowiadaniach wszystko, co cenne, np. ciekaw postaci, ostrość epizodów – ginie i “rozplywa się w zatracającym wszystko dialogu”²⁵.

Istotnie w “Dzikim gołębiu” i innych opowiadaniach występują długie dialogi, lecz są one umotywowane psychologicznie. Bez nich nie byłoby możliwe odkrycie schowanych pokładów duszy, wnętrza, zarówno “rajzera”, jak też narratora. Potrzebny był “spowiednik”, by tajemniczy przybysz mógł się obnażyć ze swym wnętrzem.

Podobny zarzut recenzenta (zoila) skierowany został pod adresem opowiadania "Trumniarz", lecz tu zauważono dobre opisy, celne rysowanie sylwetek i kreślenie sytuacji. Tradycyjną narrację uznał za plus utworów. Tradycyjna narracja – przypomnijmy – wystąpiła w "Chustce Weroniki".

4.

Drugie z opowiadań w zbiorze "Dziki gołąb" nosi tytuł "Kolacja u pana kapitana". Akcja dzieje się wczesną jesienią w nadmorskiej, rybackiej miejscinie. Miasteczko jest opustoszałe, panienki wyjechały, najlepszą knajpę zamknięto. Do hoteliku-pensjonatu przybywa gość-narrator. Jego pokój ma widok na morze. W tym samym pensjonacie mieszkali jeszcze dwaj mężczyźni: kapitan, który stracił kiedyś nogę w czasie tornado na Hawajach, a teraz chodzi o kuli oraz jego pies, owczarek Delfin. Żartowali, że gdyby dołączyło jeszcze dwóch, byłoby "czterech pancernych i pies".

W pobliskim barze "Pod Uklejem" kucharzem był dawny wyga morski i okrętowy kucharz zarazem – Łysy Dżon.

Wieczorem narrator-bohater udał się z wizytą do kapitana. Były morski wilk gawędził długo o morzu i jego tajemnicach. Stół był jednak zastawiony na trzy osoby. Tym trzecim miał być nieco spóźniony Łysy Dżon. Kapitan dokupił wódkę i "obrok".

Na prośbę kapitana Dżon rozpoczął długą opowieść o portach, historiach miłosnych. Mówił ciekawie, choć rozwlekle. Wszyscy trzej byli dobrze podpicci. Podczas tej gawędy Dżona narrator uświadomił sobie pewną prawdę o świecie:

Czułem przez skórę, że prawda jest ukryta gdzieś obok nich, że istnieje w pomieszczeniu świata rzeczywistego i fikcji; nie spełnionych marzeń (...). Błyśnie i ginie (...). Odnosiłem wrażenie, że prawda jest w zasięgu moich dłoni (...), lecz gdy zamykałem palce, ulatywała mi...

Tymczasem Łysy Dżon wiódł opowieści o zajściu na cmentarzu, "procesji dziadów", o Czerwonej Stefce – portowej dziewczynie.

Wszyscy trzej rozstali się późno z przyjętym postanowieniem, że następna kolacja odbędzie się gdzie indziej.

Fabula jest więc krótka, choć interesująca ze względu na morskie opowieści.

J. Maciejewski zwrócił uwagę, że w utworze ważne jest istnienie dwóch światów. Obok tego “normalnego” istnieje świat innych wartości. Między nimi dochodzi do wyrównywania niesprawiedliwości i zawodów życiowych. Nie chodzi tu – pisał krytyk – o praktyczno-religijną kwestię, lecz o sprawę ludowo rozumianej sprawiedliwości, która będzie wymierzona nie przez sądy.

Czołową postacią utworu jest tu Łysy Dżon i kapitan. Z opowiadaniem pierwszym łączy je podobna konstrukcja postaci. Obaj są niespokojnymi włóczęgami, samotnikami, jak “rajzer”.

Gołębiowski w swej recenzji podkreślał “nową egzotykę” i elementy makabryczne.

Wydaje mi się, że kwestia “ulotności prawdy” i istnienia rzekomo świata innego obok tego realnego ma swój rodowód ludowy i romantyczny. “Natura jest od nas mądrzejsza w myśleniu, to nie mózg kieruje, to instynkt. Trzeba spotkać w życiu coś, o czym człowiek nie wie, co to jest, jak to zakwalifikować” – twierdzi A. Hanuszkiewicz.

5.

Opowiadanie “Audiencja” rozpoczyna się opisem ponurego, dżdżystego dnia listopadowego. Pewnego dnia majster-murarz krząta się przy murarce, by szybko przygotować grób dla kogoś ważnego. Grobowiec musi być ładny i solidny. Przy pracy pomagają dwaj trzydziestoletni pracownicy – Leon i Julian. Majster Mateusz chce jednak przy okazji załatwić sprawę własną, bo może nie nadarzyć się nowa szansa.

Z wielką pompą odbywa się pogrzeb wspomnianego notabla. Dla niego majster przygotowywał grobowiec z marmuru z Carrary. Jego zasługi za życia były jednak według murarza wątpliwe, nie zasłużył sobie na taki grób. Był złym człowiekiem, “dla ludzi to był pies”.

W tym samym czasie zmarła nauczycielka Marta. Majster słyszał wcześniej, że lubiła paradne pogrzeby z wojskową orkiestrą, przepadała za marszem pogrzebowym Chopina. W 1944 r. walczyła w powstaniu, po wojnie zdziwaczała, sama często spacerowała po cmentarzu. Zatrzymała się tu, gdzie “pod białym murem, wśród białych krzyży, w kwadratowych mogiłach śpią żołnierze polegli w ostatniej wojnie o Polskę”. W czasie wojny zginęli jej dwaj synowie: starszy Adam, który zginął na Mokotowie i młodszy Jacek, który był żołnierzem z oddziału “Zośka”

i poległ w 1944 r. Ich matka – Marta ciągle tu szukała ich grobów. Przez ciągle odwiedziny cmentarza stała się “elementem pejzażu” tego miejsca.

Majster Mateusz chciał zamienić groby, Martę pochować w marmurowym grobowcu, a notabla za karę w grobie ziemnym i ciasnym.

Przy pracy wypił butelkę miętówki i zaczął dostrzegać zwidy nieżywych osób jak na seansie spirytystycznym. Widziane mary coś niby mówią. Marta np. twierdzi: *Jestem ktoś. Ten grobowiec należy do mnie.* Mateusz, jak Guślarz z “Dziadów”, odpędza marę. Lecz ta nie chce odejść, narzekając, że “jej trumna ciasna, wilgoć, miejsce podmokłe”. Szybko też dodaje pewną, w jej mniemaniu ważną kwestię: *Omyliłam się. Człowiek zawsze czegoś szuka, pragnie, tęskni, a kiedy osiągnie, choćby nawet po śmierci, okazuje się, że to nie to.* Zauważmy, że podobne filozoficzne myśli są zawarte w wielu utworach autora “Chustki Weroniki”.

Mateusz dokonuje teraz własnego osądu postaci notabla:

Byłeś za wysoko i nie słyszałeś tego, co ludzie mówią na dole.

Kiedyś nie przyjąłbyś mnie, jak po waszemu gadają, na audyencji.

Z trupem mogę sobie na to pozwolić.

Jestem ślepy, ale za to mocniej czuję...

Jutro pogadam z Dziubkiem i spróbujemy cię przenieść. Trzeba się śpieszyć, póki grobowiec otwarty.

Z tego powodu Gołębiowski zwraca uwagę na występowanie w utworze elementów makabrycznych.

Natomiast Maciejewski w swej recenzji twierdził, że rodowód zjawiska “wyrównywania niesprawiedliwości tego świata” występuje w zabytkach folkloru nawiązujących do wierzeń chłopskich oraz w wielu utworach romantycznych.

Dla uściślenia przytoczymy nieco przykładów ludowej mądrości z epiki romantyzmu:

Bo kto przysięgę naruszy,

Ach biada jemu, za życia biada!

I biada jego złej duszy.

A. MICKIEWICZ, *Świtezianka*

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,

Że według bożego rozkazu:

Kto nie doznał goryczy ni razu,

Ten nie dozna słodyczy w niebie.

A. MICKIEWICZ, *Dziady, cz. II*

Bo kto nie był ni razu człowiekiem,

Temu człowiek nic nie pomoże.

A. MICKIEWICZ, *Dziady*, cz. II²⁶

Jeden z prekursorów romantyzmu – K. Brodziński – pisał w swoim artykule o pojęciu “czucia i imaginacji”²⁷. Także przyznawał, że obok siebie istnieją dwa światy, lecz nie każdej jednostce jest dane nawiązać kontakt z “zaświatem”. Dar taki otrzyma jednostka wyjątkowa, uprawniona duchowo. Tylko ona pozna “prawdy żywe” nie “martwe” (Mickiewicz).

W opowiadaniu “Audiencja” mamy przykład, że Mateusz chciał zastąpić i wyręczyć Opatrzność w procesie wymierzenia sprawiedliwości. Na tym polega swoista inność w porównaniu do interpretacji ludowej i romantycznej zarazem. Kolizja wynikająca z przekroczenia norm etycznych – jak w mitologiach antycznych – musi być przyczyną, nieuchronnie prowadzić musi do komplikacji i kary.

6.

“Satysfakcja” to utwór napisany pod wpływem wojennych doświadczeń autora. Wcześniej, w 1935 r., St. Dyksiński ożenił się z Jadwigą Kondratowską, komendantką żeńskiego oddziału “Strzelca” w Bieżuniu. W momencie wybuchu wojny nie został powołany do wojska, nie był przeszkolony i przysługiwało mu zwolnienie ze służby jako jedynemu synowi w gospodarstwie rolniczym. Po krótkiej ewakuacji na wschód szybko powrócił do wsi Sławęcín (koło Bieżunia) i objął stanowisko skarbnika w urzędzie gminy zarządzanej przez Niemców. Wtedy też rozpoczął swą konspiracyjną walkę z okupantem. Jako urzędnik miał dostęp do druków i pieczęci. Osobom zagrożonym aresztowaniem wydawał sfalszowane dokumenty. W końcu roku 1940 zorientował się, że jest śledzony. Pod pretekstem choroby przeniósł się do Bieżunia i pomagał ojcu w gospodarstwie. Podjął także działalność konspiracyjną w oddziale POZ. Dowódcą oddziału w rejonie gmin: Biezuń, Sławęcín, Lutocin i Żuromin i działającym pod kryptonimem “Warszawa” był jego brat – ppor. Klemens Dyksiński. W sierpniu 1941 r. Niemcy dokonali licznych aresztowań członków tej organizacji. Obaj bracia ratowali się ucieczką²⁸.

Autor miał w ten sposób dość wiedzy, doświadczeń, by na własnych

i znanych przeżyciach oprzeć dwa ostatnie w zbiorze utwory. Zgromadził w nich fakty, zdarzenia i okoliczności nie z zasłyszania, lecz takie, które potwierdza historia.

Tytuł „Satysfakcja” jest związany z finałem, kiedy to narrator-bohater dokonuje swego porachunku z niemieckim żandarmem za bicie w twarz, poniżanie i strach. Hieronim, bo tak brzmi imię bohatera, poprzysiągł „zemstę na świni”, niemieckim funkcjonariuszu z Bieżunia – Hanzelu. Był on komendantem posterunku żandarmerii. Miał syna Emka.

Hieronim przed wojną uczył się w seminarium nauczycielskim. Po wybuchu wojny pełnił funkcję dowódcy kompanii BCh, był oficerem i kierował oddziałem liczącym 150 ludzi. Miał wojskowe kwalifikacje, ponieważ wcześniej ukończył Szkołę Podchorążych w Ostrowie Wielkopolskim. We wrześniu 1939 r. bronił Warszawy, a po kapitulacji stolicy wrócił na wieś do Sławęcina, pracował w administracji; znał niemieckich żandarmów i polskich szpiclów. W podziemiu miał pseudonim „Gładki”²⁹, był porucznikiem.

Akcja utworu dzieje się od 2 sierpnia 1944 r. Ustalenie to wynika z informacji służącej jako tło historyczne. Partyzanci usłyszeli z radia:

Wczoraj o godzinie piątej po południu w Warszawie rozpoczęła się akcja „Burza”. Powstanie objęło całe miasto.

Wcześniej oddział Hieronima przechwycił zrzut broni przeznaczony dla AK.

Hieronim przygotowywał się do wyjazdu na wesele do sąsiedniej wsi. W tym samym czasie do mieszkania Hieronima przybył na rowerze łącznik oddziału, pytając o Pydyna³⁰. Łącznika wysłał „Wicher” z komendy obwodu. Od syna Pydyna, Walka, dowiedział się, że ojca nie ma w domu.

Komenda obwodu oddziału „Gładkiego” mieściła się w miejscowości oddalonej o 30 km. Porucznik Hieronim („Gładki”) miał się tam szybko zameldować. Pędził więc na rowerze. Na skrzyżowaniu dróg spotkał nieznanego rowerzystę. Dalej jechał przez Bieżun. Na rynku przy pompie stał oddział „własowców”. Myli się tu i poili konie.

Hieronim minął „sklep Haskiela”, piekarnię. Zauważył wtedy „czerwoną gębę Schmidta – rzeźnika z rogu, łajdaka nie z tej ziemi”³¹. Pojechał dalej, minął rynek i znalazł się poza osadą. Wtedy zza ostatniego domu wyskoczyła bryka z żandarmami. Było ich trzech i kuczer. Zawołali na Hieronima po niemiecku. Na bryczce siedział gruby Niemiec – komendant

posterunku. Hanzel zerwał się z bryki i wymierzył Hieronimowi cios w twarz, wrzeszcząc przy tym obelżywe wyrazy.

Właśnie wtedy Hieronim pomyślał o zemście, o daniu sobie satysfakcji. Lecz należało poczekać na okazję.

Po przybyciu do komendantury obwodu otrzymał rozkaz, by szybko wprowadził swój oddział do akcji. Wyznaczono miejsce, gdzie rzeka Wkra rozwidła się. Miał też szybko wysłać łącznika do "Brniewa" – Rosjanina, którego oddział ukrywał się w bagnach nad Wkrą.

Przed zmrokiem Hieronim zdążył powrócić do wsi. Pydyn sprowadził synów i wysłał ich jako łączników do Rosjan ukrywających się w bagnistym, niedostępnym miejscu.

O świcie, zgodnie z rozkazem, Hieronim rozstawił swój oddział wzdłuż szosy w lesie. Szansa rewanzu na Hanzelu paliła.

O godzinie 7.30 na szosie pojawili się Niemcy. Trzech Ukraińców na koniach pędziło duże stado krów. Moment ataku na Niemców miał wyznaczyć kapral z oddziału Hieronima – "Śliwa". Doszło do strzelaniny. Niemcy bronili się, ale atak partyzantów był brawurowy. Niemcy musieli się poddać. Z założonymi na kark rękoma zostali wzięci jako jeńcy. Dwóch Niemców zastrzelono, zginęli też niektórzy z "własowców". Kapral "Śliwa" był ranny. Wraz z dwoma innymi został załadowany na wóz. Jeńców niemieckich wkrótce puszczono wolno.

Tymczasem niebawem miała się przemieszczać szosą kolumna około dwudziestu samochodów niemieckich wypełnionych bagażem.

Czy to możliwe, że tutejsza żandarmeria ucieka z rodzinami?

Oddział Hieronima strzelał seriami. Żandarmi (były z nimi też kobiety i dzieci) nie bronili się. Byli zaskoczeni. Niektórych Niemców rozpoznało, pochodzili z Kruszyna (?). Oddzielono mężczyzn od kobiet i dzieci. Wśród nich był Hanzel.

Hieronim rozkazał mu wystąpić.

Hanzel, poznajesz mnie?

Błyskawicznie przerzucił pistolet do lewej ręki, a prawą wyciął Niemca w szeroki pysk, aż echo oddało w lesie (...). Bił z obu rąk, lewa, prawa, lewa, prawa... Głowa żandarma, niczym szmaciana kukła, za każdym ciosem zabawnie odskakiwała do tyłu.

Niemiec prosił, by go nie rozstrzelać. Chciał zmiękczyć Hieronima, przypominając mu swego synka Emka, którego Hieronim był nauczycielem.

Było po rewanzu. Oddział porucznika Hieronima (“Gładkiego”) czcił zwycięstwo wódką.

W epilogu opowiadania dowódca partyzantów wyraził jeszcze refleksję: (...) *Widziałem kiedyś, jak żandarm bił po twarzy Polaka tylko dlatego, że przed nim nie zdjął czapki. Przyrzekłem sobie wtedy, że muszę choć jednemu hitlerowcowi tak dać w gębę, żeby zarył się nią w polską ziemię. No i słowa dotrzymałem.*

— *Teraz masz satysfakcję?*

Takie sytuacje – jak przyznał – były jednak dla niego obrzydliwe, wołał walkę otwartą.

Zdarzenia przedstawione w “Satysfakcji” są tylko częściowo zbeletryzowane. Utwór jest dość czytelny, daje możliwość odniesień do osób i zdarzeń prawdziwych. Historia wojny w okolicach Bieżunia, Sławęcina, Żuromina, Lutocina, Rościszewa, Myślińca została już spisana przez historyków i świadków. Większe akcje bojowe oddziały BCh z podokręgu “Wkra” przeprowadziły pod dowództwem Ryszarda Siemiątkowskiego (ps. “Burta”) oraz Kazimierza Kuligowskiego (ps. “Ful”) w okolicach Siemiątkowa i Semborza w dniach 13-14 listopada 1944 r.³³

Oddziały BCh zostały rozwiązane na północnym Mazowszu w lutym 1945 r.

Około 20 lutego 1945 r. M. Kazimierowicz, dotychczasowy komendant BCh podokręgu “Wkra” i T. Fijałkowski, jego ostatni adiutant, udali się do Warszawy do WUBP w celu formalnego rozwiązania organizacji konspiracyjnej w całym podokręgu. W czasie tego wyjazdu został nawiązany również kontakt z ZW SL i KW PPR w Warszawie. Krótko po powrocie z Warszawy, 5 III 1945 r. M. Kazimierowicz wydał rozkaz demobilizacyjny...³⁴

Dla czytelnika z Bieżunia ściśle związki tego opowiadania z historią tej ziemi są zapewne cenne. Ważny jest także literacki aspekt utworu – dobry język, udratyzowana konstrukcja rewanzu na niemieckiej bestii, wyraźna kłamrowa kompozycja.

Czytelnicy, z których wielu żyje do dzisiaj i pamiętają tamte dni, przeczytają utwór Dyksińskiego, stosując Norwidowską maksymę: “Przeszłość to jest dziś, tylko cokolwiek dalej”.

Wojenną tematykę zawiera także ostatnie z opowiadań – “Trumniarz”. Akcja dzieje się w Sławczynie (wyr. moje – W.M.) należącym terytorialnie do “wymyślonego przez Niemców tzw. Ostpreussen Bezirk Zichenau”. Łatwo rozszyfrować, że chodzi o wieś Sławęcin, w latach wojny samodzielną gminę w pobliżu Bieżunia.

Niemcom, jak podaje autor, chodziło o całkowite zniszczenie i wysiedlenie ludności polskiej.

Wiedziałem o tym, bo należałem do ruchu oporu, a w nim do oddziałów specjalnych – podaje autor³⁵.

Główna postać utworu (narrator) to urzędnik w “Gemeindeamt” (urząd gminy) konspiracyjnie prowadzący ewidencję osób “spalonych”. Jego współpracownikiem był woźny – Stefan Strach³⁶.

Niemcy przygotowywali się do wywózki ludności ze wsi: Bielawy, Gołuszyn, Myślin³⁷.

Ktoś jednak “sypnął” i gestapo pod dowództwem Bettera posiadało dokładne informacje. Trzeba było szybko ostrzec ludzi. W biurze urzędu gminy pod legalnymi papierami czekały gotowe, sfabrykowane “Ausweissy”. Należało je szybko dostarczyć osobom z niemieckich list. To zadanie miał wykonać wspomniany Stefan Strach. Popędził rowerem w stronę Wkry. Około północy jakiś Niemiec łomotał do drzwi narratora. Bohater przestrzegł żonę: *Pamiętaj (...) papiery i broń w piecu (...). W razie czego zniszcz lub oddaj “Fulowi”*³⁸.

Niemcem, który łomotał nocą do drzwi, był komisarz Robert Better. Ubrany był w esesmański mundur. Przyjechał dużą bryką zaprzęgniętą w dwa kasztany. Jego woźnicą był dawny fornał – Antoni. Better polecił narratorowi ubierać się i bryka pomknęła “w lewo, drogą przy wiatraku”³⁹. Dalej jechali polną drogą. Wtedy zrodziła się myśl ucieczki, lecz jeszcze czekał.

Pewno do Budnego? W jego domu, w trzecim schodku mieliśmy ukryte radio, gazetki. Ktoś wyspał (...).

Stefan Budny mieszkał w swoim Mariankowie kawalek za wsią, a w pobliskim sąsiedztwie dworu. Od teścia, właściciela majątku, dostał najbrzydszą córkę i najslabsze grunta na Wydartuchu.

Był oficerem rezerwy, ale nie wtajemniczaliśmy go w nasze konspira-

cyjne sprawy (...). Domyślał się wszystkiego i pomagał. Znał kilka języków, prowadził nastuch zagranicznych stacji i przekazywał wiadomości organizacji.

Bryka mijala las, blisko była rzeka.

Narrator dobrze znał biografię Bettera. Przed wojną nosił on inne nazwisko, mieszkał w Warszawie, miał się różnych zajęć. Gdy wybuchła wojna, służył w 11 pułku ułanów w Ciechanowie. Lubił pić z sołtysami, miał fantazję i zawadiacki charakter. Uchodził za hochsztaplera “pierwszej klasy”.

Teraz Better też był podchmielony. Bryka jechała wolno. Narratorowi zaproponował rum spod siedzenia bryki. Wokół były łąki, droga mało uczęszczana, słycać było czajki i inne ptactwo wodne.

Panie komisarzy, do Sokołowego Kąta⁴⁰ tędy nie dojedziem.

Niedaleko Wkra... — wtrącił woźnica Anton.

Okolica była dla partyzantów ważna:

Niedaleko stąd rozchodzą się i schodzą szlaki ruchu oporu. Cały ten obszar to lasy, zagaje, bagna, rzeki, trzęsawiska.

Wprost nie do przebycia (...). Przyznawałem w duchu, że choć urodzony w tych stronach, tobym nocą sam pobłądził⁴¹.

Better skierował brykę do domostwa rybaka.

Chałupina była stara, niska, kryta słomą, szczytem oparta o skraj lasu.

W izbie był mężczyzna i kobieta znana w okolicy z urody, kołysała dziecko. Płakała z bólu z powodu “zastrzału”.

Niemiec rozpoznał w domu rybaka młodego mężczyznę. Był nim Janek Strycharz. Kiedyś, podobnie jak Better, pracował w Warszawie. Na Pelcowiznie przezywano go “Niemowlę”. Pracował wtedy u trumniarza Zająca. Teraz drogi Bettera i Janka Strycharza spotkały się.

Na polecenie Niemca Anton przyniósł z kosza wódkę, piwo, słoninę, cukier. Better Rozpoczął libację. Wódka dodawała mu animuszu i buty:

Jesteście głupcy i musicie zginąć. Na waszej mierzwie, jak mówi poeta niemiecki, wyrośnie wielka Rzesza (...). Hitlerowcy nie mają skrupułów, nie znają litości, współczucia! (...) Z tego zbudujemy wielkie Niemcy od Renu aż do Uralu. Słyszycie, niewolnicy?

W ten sposób pijany Better objaśniał swoją “wiarę” hitlerowską. Przeżywał też pewne dylematy moralne, wynikająca z faktu, że był synem Polki i Niemca. Wkrótce, upojony wódką, usnął.

Bohater opowiadania wymknął się wtedy z chaty. Poszedł do małej zatoczki nad Wkrą, gdzie stały dwie łódki. Wtedy usłyszał, że gdzieś w oddali lecą z ciężkim warkotem bombowce.

Janek Strycharz zastanawiał się, czy nie “wypuścić flaków nożem” pijanemu faszystcie. Lecz szkoda mu było Zośki i dziecka, gdyby Niemcy dokonali zemsty.

W oddali widać było słup dymu. Palił się – według Bettera – “Sławny-czyn”. Kazał popędzić konie ku wsi. Tu dopadł sołtysa, bił go i kopał. Chciał wyciągnąć wiadomości:

*Pod gruszką w sadzie postawiono stół, rozłożono papiery i żandarmi w obecności skatowanego przed chwilą sołtysa kolejno przyprowadzali chłopów. Kładli ich na starym podwoziu i bili bez wyjątku (...). Chłopi, idąc do podwozia, gdzie sołtys wiązał im ręce i nogi, zginali ze strachu kolana pod zapamiętałym i dzikim spojrzeniem komisarza (...)*⁴².

Na tym fabuła utworu kończy się.

Mogłem go dzisiaj zabić (...), ale trzeba będzie jeszcze trochę poczekać — dodaje narrator.

Utwór zawiera na końcu istotny dopisek:

Biezuń-Marcinkowice, czerwiec 1968 r.

Złośliwy redaktor pisał, że:

W “Trumniarzu” obserwujemy okupacyjne wyczyny w Bezirk Zichenau niejakiego Amtkomissara Roberta (vel Romana) Bettera, który przed wojną był akwizytorem i szefem reklamy w zakładzie pogrzebowym trumniarskim na Pelcowiznie, a z chwilą wybuchu wojny został Volksdeut-schem, lecz dokonawszy wyboru, nie umiał sobie dać rady z siłami odskokowymi psychiki zarażonej polskością i dlatego jest tym zawziętym siepaczem hitlerowskim⁴³.

Takie odczytanie utworu nie jest w pełni trafne. Istotą tego opowiadania nie jest jakiś portret Niemca. Autor przecież cały czas demaskuje jego skłonność do alkoholu, wyraźne zainteresowania erotomańskie (scena w chacie rybaka) i przeświadczenie ideologiczne o “wielkiej Rzeszy”. Postać żandarma Bettera jest celowo zdegradowana do roli “niemieckiej świni”.

Moim zdaniem dominantą utworu jest stan duszy bohatera-narratora. To on nieustannie musi “opisywać” czytelnikowi stan swojej duszy, każdy przejaw strachu, usiłuje myśleć racjonalnie, by nie dać się zawładnąć prze-

możnej chęci zemsty. Musi przetrzymać pijackie fanaberie Bettera, by zachować honor, siłę i odwagę i wrócić do domu z uśmiechem przez łyzy.

Przyjaźniej odczytał opowiadanie Gołębiowski:

Z opowiadań okupacyjnych najczęściej przypadł mi do gustu "Trumniarz".

Zajmujący problemowo tematykę rozdwojonego człowieka. Niby niepo-
czytalnego, ale z wyraźnym adresem⁴⁴.

Gołębiowski nie czynił zarzutów takich jak poprzedni recenzent. Przeciwnie – wyrażał akceptację dla tej prozy. Nie odpowiadały mu jedynie pewne detale, np. jakieś przejawskrawienia faktów z działalności BCh, "ojracto i wódzia przy każdej okazji". Ostatnie słowa adresował do wszystkich utworów z tomiku "Dziki gołąb".

W sumie obaj recenzenci woleli pochwalić mało, za to wyłuszczyć rzekome niedostatki.

Zasadnicza to pomyłka. W obu opowiadaniach wojennych ("Satysfakcja" i "Trumniarz") wykorzystane fakty z historii ziemi biezuńskiej są tylko tłem. Nie można się z tych faktów uczyć historii. Służą wyraźnie nie swoją faktografią, lecz atmosferą wojennej psychozy. Oba te utwory nie są literaturą faktu. Są krótkimi relacjami wojennymi wydobywanymi jakby z zapomnianej przeszłości. Oba utwory są mimo to dobrze osadzone w realiach miejscowych: Wkry, bagien, młyna, lasów i łąk, ptactwa, wiatraka. Wydaje się, że wszechobecna jest w opowiadaniach Dyksińskiego rzeka – Wkra z jej odnogami, meandrami i tajemnicami, jak "Wierna rzeka" w dorobku Żeromskiego lub jak różne "młyny nad Kamionną", "Utratą", "Lutynią" w prozie Iwaszkiewicza.

8.

St. Dyksiński debiutował prawie równolegle ze S. Gołębiowskim. Poeta i przyszły tłumacz Horacego z biezuńskiego "Sabinum" wydał swoje skamadryckie wiersze w roku 1937 niejako pod egidą J. Tuwima. Dyksiński już w 1932 r. w tygodniku "Świetlica" wydrukował krótki utwór prozą "Wycieczka, jakiej nie było". Jego egzemplarze nie zachowały się.

Kolejne opowiadania wydawał pojedynczo w gazetach i czasopismach: "Ziemia Mazowiecka", "Życie Sierpeckie", "Wici", "Zielony Sztandar", "Orka", "Tygodnik Kulturalny" i innych⁴⁵.

Do debiutanckich opowiadań należą np. "Marta" i "Na gwiazdkę". Czas ich powstania dokładnie nie da się określić. Można jednak przyjąć, że chodzi o lata 1933-1938.

Krótki utwór prozatorski "Na gwiazdkę" ukazał się w 1935 r. w "Ziemi Mazowieckiej". Jest mało znany, stąd uprawnione będzie jego przybliżenie.

Treść stanowi bezgraniczna bieda, głód i choroba matki w rodzinie (biezuńskiej?). Matka nie może się już dźwigać z barłogu, pluje krwią, garstka jej dzieci jest głodna. Jedyną strawą są niekрасzone kartofle. Pod blachą nie ma czym napalić, by zimą ogrzać nędzną izbę. Ojciec tej rodziny i mąż od czterech lat był pochowany "na górcę za wsią wśród płaczących brzoź".

Najstarszy z synów czternastoletni Witek – jako jedyny żywiciel rodziny musi sprostać obowiązkom wobec matki i rodzeństwa. Przynosi zimą drewno na opał. Podczas wyprawy do lasu spotkał życzliwą duszę, rataja służącego u dziedzica Zdziarskiego. Spotkany rataj stworzył Witkowi szansę zarobku.

Witek załadował na furmankę zboże z młyna (w Bieżuniu?) i wraz z innymi furmanami wyruszył. Droga była ciężka: zima, mróz, śnieżycy, zasy. Okolice były zawiane, a Witek miał zawieźć zboże przez Żuromin, Zieluń do Lidzbarka.

Przejmujący wicher, ostry mróz, śnieżycy uczyniły z wyprawy Witka do Lidzbarka istną "drogę przez mękę". Jak się okazało – także "drogę krzyżową". Woźnice wiozący zboże innymi furmankami jechali szybciej, chłopiec miał konie słabe, bo źle karmione. Wkrótce stanęły w wielkiej zaspie śniegu.

Witek z początku nie bał się. Wierzył, że zboże dowiezie, a za zarobione grosze kupi wiele "na gwiazdkę" (wyjaśnienie tytułu). Lecz śnieżycy i ostry mróz nasiliły się. Dalej nie można było jechać. O jakiś ratunek też było trudno. Konie zaplątały się w postronki i ugrzęzły w zaspie. Wtedy nieoczekiwanie chłopiec spostrzegł przy drodze drewniany krzyż z "rozpiętym na nim Chrystusem". Zaczął odmawiać "Ojcze nasz...". Chrystus – wierzył Witek – wszystkim pomaga, jemu też użyczy swej mocy. Utwór kończy się tragicznie.

W nastroju jest to opowiadanie smutne, posępne. Może rodzić przy pobieżnej lekturze skojarzenie z biednym losem rodziców i dzieci w noweliście pozytywistycznej, szczególnie z tzw. "obrazkami" Konopnickiej. Byłby to jednak trop fałszywy, nieuzasadniony.

Prawdziwe skojarzenia mogą tu prowadzić ku twórczości “pieśniarza krainy kęp i wiecznej nędzy” – Wł. Orkana. W nowelach i powieści “Kormornicy” opowiadającej o nędzy górali w Gorcach można widzieć lepszy literacki kontekst utworu Dyksińskiego. Orkan, na którego twórczość autor “Na gwiazdkę” często się powoływał, sam dobrze znający góralską nędzę, pisał o Margoście i jej dzieciach przymierających z głodu. Mąkę w utworze Orkana trzeba ukraść. “Złodziejka” – córka Margości – będzie za to okaleczona przez bezdusznego górala. Wyrobница musi latem tułać się, zimą znaleźć przytulisko u tak samo biednej jak ona sama. Syn Margości musi szukać drogi “za chlebem” w Peszcie. Ma nadzieję, że zarobi i wtedy kupi prezenty dla matki i siostry. W opowiadaniu “Na gwiazdkę” czternastoletni Witek “oczyma wyobraźni widzi coraz to większe wspa- niałości, jakimi obdarzy rodzinę i dom na święta”. Miał kupić “trochę mąki żytniej na chleb”, bo “dawno go nie było w domu”, “ze trzy śledzie”, su- szone śliwki. Marzył też o świecącej w izbie choince.

Wystarczy tyle analogii z twórczością Orkana.

Jako czytelnik wybrałbym jednak jako rodowód dla utworu Dyksińskiego topos ogólnoliteracki, ponadczasowy, występujący w baśniowym ujęciu losów “Dziewczynki z zapalkami” J.Ch. Andersena. W baśni nikt nie kupił od dziewczynki zapalek. Została sama, choć wśród ludzi. Zamar- zła pozostawiona sama sobie. Była ofiarą braku serca ze strony innych.

Witek jako literacki bohater dziecięcy przypomina swym tragicznym losem ten uniwersalny topos z literatury światowej.

Utwór Dyksińskiego wyrósł z pewnością z czasów ciężkiego kryzysu ekonomicznego Polski z lat trzydziestych. Dodatkowo zawiera swoistą wersję losów rodziny i dziecka, którym nikt nie pomógł.

9.

Warto odnotować jeszcze jedno wydarzenie z twórczości literackiej St. Dyksińskiego. W “Tygodniku Kulturalnym” (nr 31, 2 VIII 1964 r.) wy- drukowano utwór o innym charakterze noszący tytuł “Miła moja”.

Warto dodać, że ten numer tygodnika był poświęcony rocznicy wybu- chu powstania warszawskiego. Obok tekstu utworu umieszczono zdjęcie pomnika zwycięskiej Nike z Placu Teatralnego.

“Miła moja” to utwór związany z różnymi losami Warszawy z lat 1905-1956. Ma formę lirycznego, pisanego za pomocą apostrof wspomnienia, retrospektywnego “spaceru” po stołecznych ulicach i zakątkach miasta, począwszy od strajku szkolnego młodzieży w 1905 r.

Na trzech kolumnach tekstu autor prowadzi czytelnika najpierw w czasy starej Warszawy – na Stare Miasto, do Mostu Kierbedzia, do Ogrodu Saskiego gwarnego latem, na place i do parków. Do tej starej Warszawy, jak do wybranej dziewczyny, rwało się serce młodzieńca. Miasto miało wtedy swój klimat i urok.

W wyraźnie się oddzielającej części drugiej tekstu autor pokazał stolicę z lat wojny. Teraz “spacer” odbywa się po “cmentarzysku”. “Wiatr dzwonił podartymi strzępami rynien, resztkami wiszących latarni i skrzypiał gdzieś oberwaną futryną okna. W tym katastroficznym obrazie miasta nie ma ludzi, wszędzie ruiny i zgłiszcza” (Staff). Ślady ludzi pozostały na kartkach poprzyklejanych na zburzonych resztkach domów: “Anna mieszka w Podkowie u Piotra”, “Janku, daj znać o sobie”, “Stach w niewoli”, “Szukaj nas w Komorowie”. Na “spacerze” po tamtej Warszawie “wszędzie pustka, zgłiszcza i nozdrza drażnił zapach spalenizny”. Ta druga część kompozycyjna tekstu jest utrzymana w stylu poetycko-katastroficznym, tak częstym w wierszach poetów zwanych “Kolumbami, Rocznic 20” oraz w wierszach starszego pokolenia – Staffa, Wierzyńskiego, Słonimskiego. Miasto jest “ciemne”, spalone. Tu i ówdzie tylko pojedynczy ludzie, barykady, gestapowcy z psami, życie “skryło się w antypodach”.

Spośród prozaików podobnie pisali o wojennej Warszawie: M. Białoszewski (“Pamiętnik z powstania warszawskiego”), M. Dąbrowska (“Dzienniki”), Z. Nałkowska (“Dzienniki czasu wojny”) oraz H. Krall (“Zdążyć przed Panem Bogiem”).

Ostatnia część utworu Dyksińskiego oddaje chwilę, gdy Warszawa zaczyna dźwigać się z ruin. Obecnie “spacer” jest już inny. Ten, który stolicę nazywa “miła moja” zauważył, że powróciły warszawskie gołębie, zazieleniły się drzewa, rośnie Mariensztat, na Starym Mieście odbudowuje się kamieniczki, na Tamce i Brackiej pracują spychacze. Na swoje cokoły powrócili Kopernik i Mickiewicz, piękniał uniwersytet...:

Wiedziałem już na pewno, że nie zginęłaś... (...)

Cieszylaś się z każdego zasadzonego drzewka, nowej latarni, każdego metra wzniesionego muru.(...)

Powrócił gwarny, wesoly tłum, od mostu Śląsko-Dąbrowskiego, aż do Woli. (...)

Wracali (...) tułacze, wygnańcy, żołnierze spod Tobruku, Narwiku, Mauthausen.

Może teraz kartka, że “Anna mieszka w Podkowie” została przeczytana?

W uzupełnieniu wykorzystajmy tekst komentarza pióra historyka Cz. Madajczyka:

Rok 1945 to nieporównany moment historyczny, kiedy Polska nadziei spotykała się z Polską rozpaczcy, Polska walcząca i wielkiej improwizacji z Polską sparaliżowaną bólem, zawodem, Polska wędrująca z Polską tradycyjną, osiadłą (...). Rozpaczano po milionach ofiar, smucono się na ruinach osiedli, domów, czekano na wieści o najbliższych, czy ocaleli, przeżyli w więzieniach, różnych obozach, gettach, na robotach przymusowych, w szeregach wojsk polskich (...) W żadnym innym kraju europejskim nie wykazano tyle energii w dziele odbudowy, co w Polsce, a Warszawa była efektywnym tego przykładem⁴⁶.

Ostatnia część tekstu utworu “Miła moja” jest krótkim nawiązaniem do wydarzeń “polskiego października” z roku 1956. Warszawa “była znów sobą”, “ludzie byli pełni euforii, śpiewali, przystawali na ulicach...”

Całość utworu jest oryginalnie zbudowana, ponadto forma niby wspomnienia, niby “spaceru” czy “listu” do ukochanego miasta odświeża ogólnie znany w wierszach o Warszawie sposób obrazowania.

Nie przeszkadza to faktowi, że ten sam złośliwy krytyk, na którego słowa powoływałem się przy opowiadaniach poprzednich, stwierdził, że jest to “litania potraktowanych trybem retorycznym przypomnień różnych momentów w dziejach Warszawy od czasu rewolucji 1905 roku do października 1956”.

Czytelnik z Bieżunia zauważy jednak, obok poetyckiego prawie spojrzenia na różne okresy z dziejów Warszawy, osobistą refleksję autora:

Nigdy w życiu nie widziałem takiej dużej wody. Kochałem swoją Wkrę (podkr. moje – W.M.), ale cóż ona znaczyła wobec tej szerokiej wstęgi z białymi lachami piasku wirami...

W ten sposób autobiografia styka się w utworze ze sprawami ogólnymi, z historią i kulturą Polski.

W taki sposób motywuję tytuł całości mej pracy o twórczości Stanisława Dyksińskiego.

Pora, by nieco uwagi poświęcić utworom, które nie zostały wydane, lecz istnieje o nich informacja. Jedna z tych książek nosi tytuł „Pomniki ze słomy”. Jest powieścią autobiograficzną. Jej tekst został udostępniony przez żonę pisarza – Jadwigę Dyksińską – redaktorowi naczelnemu „Biezuńskich Zeszytów Historycznych”.

Tekstu drugiej z powieści nie udało się zdobyć. Wiadomo jednak, że autor przesłał 27 grudnia 1963 r. do redakcji wydawnictwa LSW swoje „Uwagi do konspektu książki pt. »Ludzie na rozstajach«”. Tekst tego „konspektu” zachował się.

Rzuca on światło na sprawy w Bieżuniu na ogół znane, jak: dawny Biezuń nazywany „Polesiem mazowieckim” z jego bagnami, torfowiskami, łąkami, rzekami i zaroślami; zamkiem po Andrzeju Zamoyskim, pamięcią o powstańcach z roku 1863. Autor chciał – jak pisał – *nie wchodząc głębiej w okres okupacji odtworzyć w sposób jak najbardziej obiektywny (...) obraz sytuacji pierwszych i dalszych dni wolności*⁴⁷.

Miała to być powieść o ludziach i czasach autorowi dobrze znanych z Bieżunia. W zamiarze miała być autobiograficzna. Szkoda więc, że odmówiono jej druku. Decyzję podjął ówczesny kierownik działu literackiego LSW Wiesław Myśliwski, podpisując odmowę w dniu 10 marca 1970 r. Uwagę zwraca fakt, że pismo jest lakoniczne, nie podaje przyczyn odmownej decyzji, jest także przykładem „ucinania” sprawy za pomocą arogancji. Może dlatego, że Dyksiński chciał utworować drogę prawdzie niewygodnej, zbyt świeżej jak na czasy gomułkowskie.

Ciekawiej dla biezuńskiego czytelnika rysuje się druga z niewydanych powieści „Pomniki z słomy”. Nie są mi znane przyczyny nieprzyjęcia jej do druku. Znając jednak treść powieści, domyślam się, że i tu powody były podobne – konkretnie zapewne chodziło o trudne dni chłopskich partii na prowincji, aresztowania, fałszywe oskarżenia, chaos polityczny i mozolne dni budowy nowej rzeczywistości w latach 1945-1948, dyskusje polityczne „na wiatraku” w Bieżuniu.

Z zachowanego maszynopisu powieści warto chyba skorzystać w ten sposób, żeby odtworzyć momenty, „które mają związek ze sprawami już znanymi”.

Jeden z takich fragmentów rzuca światło na historię powstania gimna-

zjum w Bieżuniu. Stefan Gołębiowski – jak się okazuje – sam nie wykonałby swego dzieła bez pomocy ówczesnego wójta w roku 1945, którym był St. Dyksiński. Wypowiedź Dyksińskiego brzmi następująco:

Ostatnio profesor Gołąb zafascynował mnie swoją wizją chłopskiego gimnazjum (...). A kandydatów "mnogo". Wałą się oknami i drzwiami. Szkoła po prostu pęka w szwach. Brak sprzętu, izb szkolnych. Dopiero za parę lat będzie można mówić o budowie internatu? Brakuje mi dwóch nauczycieli: do matematyki i fizyki (...). Chcę wybrać się do stolicy, do kuratorium. Może coś pomogą. Chciałem pana prosić, abyśmy tak we dwójkę pojechali?

(...) Już wiedziałem, że do Warszawy się z nim wybiorę. Bo któż pojedzie żebrac u władz o pomoc (...) — postanowił St. Dyksiński. W Bieżuniu po wyzwoleniu pracy miał wiele.

(...) nocą było słycać jakieś łaskoty. To biedniejsi mieszkańcy rąbali podłogi (...). Całe szczęście, że wybawił mnie z tego zmartwienia Gołąb. Jednego dnia całą tę dzielnicę sprzedałem mu za symboliczną złotówkę (...). Przed transakcją obeszlśmy z majstrami cały obiekt. Murarz Fafka i cieśle, stare fachmany, obmacali stropy, belki i wiązania. Opalonymi żerdziami oznaczyli każdy dom (...).

Przez wiele dni, nie wyłączając niedziel, Gołąb z młodzieżą szkolną i pospolitym ruszeniem mieszkańców osady rozbierał stare, pamiętające Napoleona chałupy, gnijące budy, szajery, chlewki, szopy, śmierdzące klozety, zasypywał śmietniki, oczyszczał rumowiska pod przyszły gmach szkolny, boisko, ogrody. Kopał kwadratowe doły, do których chłopci zsypywali czubate fury wapna przywożonego z odległego Sierpca lub Mławy. Utyłtany w błocie, z przekrzywionym kapeluszem na głowie i niodłączną laską wspierającą zgarbione plecy otoczony tłumem młodzieży i starszych, ugaśniał się niezmordowany po placu budowy (...). Przebudowywał stary świat.

Mój Boże, co to było za święto, kiedy w kilka miesięcy później w sklepie po Gerlicu, który jeszcze przed niespełna rokiem służył hitlerowcom za karczmę "Nur für Deutsche", wyczarował pierwsze klasy chłopskiego gimnazjum (...).

Tak w powieści znajdujemy szerszy kontekst sprawy budowy szkoły średniej w Bieżuniu. Inicjatywa należała do Gołębiowskiego. Urzędowo i organizacyjnie wspierał go w pracy St. Dyksiński. W swej powieści przewidywał:

*Co tu gadać. Ciągnęliśmy robotę jak dwa mazowieckie konie (...).
Z pewnością za ileś lat to wszystko, co obecnie robimy, czym cieszymy się,
co jest naszym sukcesem, z czego dumni jesteśmy, stanie się normalną rzeczy-
wistością. Nikt już nie będzie przystawał pod tablicą naszego gimnazjum, nie
zobaczy drugiego Gołęba utyłanego w wapnie i błocie, uczniów kopiających
doły (...). Niezrozumiale i wręcz głupie będą dla nich nasze trudności.*

W parę dni później – czytamy w maszynopisie powieści – wójt Dyksiński i “Gołąb” w Zgagowie wsiedli do pociągu, jadąc do stolicy, do kuratorium. Warszawa była zdruzgotana po zakończeniu drugiej wojny. Były trudności z komunikacją, noclegiem, posiłkami.

Dwaj przybysze – petenci z Bieżunia – odnaleźli właściwy urząd i osobę kuratora Kurpiela (?). Ten, na propozycję przyznania pieniędzy na etaty nauczycielskie, oponował, bronił się “pustą kasą młodego państwa”. Wtedy wójt Dyksiński z odwagą mówił o ogromnym wysiłku społeczeństwa w Bieżuniu, o jego postawie obywatelskiej:

Przywieźliśmy wam szkołę gotową, dajemy w prezencie, a wy jej nie chcecie. Dobrze, nie bierzcie, damy sobie radę i bez was.

Kurator Kurpiel życzył sobie najpierw zwizytować szkołę w Bieżuniu i od tego uzależniał przyznanie etatów. Gołębiowski był zdania, że sprawa została wygrana:

Za rok budę nam upaństwowią, a przecież o to głównie chodziło.

W ten sposób gimnazjum w Bieżuniu, początkowo samorządowe (1945-1946), dzięki staraniom dwóch społeczników miało wkrótce stać się szkołą średnią z oficjalną nazwą “Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Orkana w Bieżuniu”.

Dalsze losy szkoły i wcześniejsze problemy jej powstawania zostały już spisane i opracowane⁴⁸.

Przytoczone z nieznanej powieści stronicę poddaję pod rozważę tym, którzy chcieliby mieć pomysły inne, niż przyświecały założycielom placówki. W murach szkoły są obecne “duchy” dwa potężne, które strzegą swego dzieła: duch Stefana Gołębiowskiego i duch Stanisława Dyksińskiego.

Wart odnotowania okazuje się w powieści ładny opis bieżuńskiego wiatraka “Bunicha”. Jest to jednak temat na oddzielne opracowanie.

Kolejna książka St. Dyksińskiego “Nie gaście świateł na Manhattanie” wyszła w roku 1975 (LSW). Jest to reportaż z pobytu autora wraz z żoną w Stanach Zjednoczonych na zaproszenie córki Barbary i jej męża Ryszarda Tryca, ówczesnie attaché kulturalnego ambasady Polski. Podróż odbyła się w sierpniu 1972 roku. Książka jest owocem podróży pisarza po ciekawych miejscach, miastach i relacją dotyczącą spotkanych tam emigrantów z Polski. Poszczególne rozdziały (jest ich 11) stanowią relację z innego miejsca w Ameryce.

Po obejrzeniu wodospadu Niagara goście z Polski udali się w podróż przez Buffalo, Apallachy, Waszyngton. Oprócz instytucji, jak Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych, oglądają na ulicach hippisów i ich dzieci. Lubili podpatrywać amerykański “tygiel”.

Dalsze niektóre podróże po Ameryce pisarz odbywał w pojedynkę, jedynie z przewodnikami. Spotykał ludzi, którzy mogli wiele opowiedzieć.

Amerykański pastor np. był z pochodzenia Polakiem. Miał bogaty księgozbiór: romantyków, Gąbrowicza. Głosił pogląd, że “Ojczyznę (...) odkrywa się na obczyźnie. Z dystansu wiele spraw ostrzej się widzi i głębiej czuje”. Dzięki niemu turysta ze starego kraju obejrzał niezapomniany zachód słońca i noc na prerii. W pobliżu tego domostwa słyszał słowa piosenki “Dziś do ciebie przyjść nie mogę...”.

W czasie wyjazdu na Florydę spotkał Freda Kopecky’ego. Ten zasymilowany już przez nową ojczyznę Polak do kraju nie miał powodu wracać, bo wszyscy wymarli. O Polsce miał opinię niezbyt dobrą. Sądził, że *Ameryka to kraj, gdzie reklama osiągnęła szczyt. Wasza socjalistyczna ojczyzna do pięt jej nie dorasta (...), a wy tam w Polsce też nie żyjecie na kredyt; mimo wielkiej idei za wszystko musicie płacić...*

W książce nie brakuje fragmentów, które bez przesady można uznać za piękne, świetne widokówki. Jedną z nich jest opis Miami, które autor porównuje do polskiego Sopotu.

Niektórzy ze spotkanych za oceanem Polaków mieszkali tu już wiele lat. Spotkana Polka (żona Józefa Spornego)⁴⁹ – Wanda – na pytanie, czy nie chciałaby przyjechać do Polski odpowiedziała:

(...) ileż to razy leciałabym do Bieżunia na skrzydłach. Zobaczyć się z rodziną, pospacerować jak dawniej po parku, wykąpać się w Małej Rzech-

ce, iść na majowe nabożeństwo do starego kościółka...

Spotkania z Polonią przerywają spacer po wielkim mieście: jaguary pędzące po ulicach, coca-cola, murzyni taszczący towary. Tu w nowojorskim zgiełku "szóstej Ave" słychać język polski w sklepie z wędliną. Właścicielem sklepu był niejaki Węglicki. Zaprosił pisarza z Polski do swej posiadłości nad Atlantykiem. W jego domu padły, z pewnością przykre dla gościa, pytania:

— *Czy w Polsce leczenie jest za darmo?*

— *Czy mleko można kupić w sklepie?*

— *Czy w Warszawie są taksówki, parkingi, stacje benzynowe?*

Dziecko obecne przy spotkaniu zapytało:

— *Czy chłopcy i dziewczęta grają w tenisa?*

— *Czy w Polsce są lody?*

Na Broadwayu pisarz doszedł do wniosku, że *można tu doznać wszelkich przyjemności, jakie wymyślił człowiek dla drugiego człowieka, aby zdobyć jego pieniądze.*

Na Manhattanie po zapadnięciu zmroku jest niebezpiecznie. "Czarni" są groźni dla "białych", pachnie zbrodnią i gwałtem. Tu rodzi się rozpacz, nienawiść i przestępstwo. Lepiej więc nie gasić świateł Manhattanu, może światła powstrzymają gwałt i zbrodnie.

Jedna z okolic miasta amerykańskiego przypominała przedwojenną Pragę. Spotkał tu dwóch braci Gołębiewskich. Pochodzili ze wsi Stawiszyn koło Bieżunia. Do Ameryki wyjechali w roku 1947 i 1971.

Ameryka to kraj nie dla mnie — mówi młodszy Gołębiewski — tu nie ma życia dla Polaka. (...) Jeszcze trzy tysiące dolarów (...), tyle mi trzeba. Dom już gotowy, światło, woda, ogrzewanie (...). Na wiosnę baba zacznie stawiać stajnię, oborę. Potem kupię sobie taki mały traktorek.

Poglądy Polonii amerykańskiej są w reportażu dość różne. Dla jednych to Eldorado i sposób na dorobienie się. Dla innych kraj wolności. Dla jeszcze innych to miejsce, gdzie autorytet rośnie jednocześnie z wysokością konta w banku, a także z "marką samochodu i domem w dobrej dzielnicy".

Spotkał też autor Polaka, który mimo wieloletniego pobytu "za wielką wodą" nie uległ egzotyce, czuł i myślał realistycznie:

Wielu z nas żyjących na tej ziemi ma serce rozdarte. Znam nostalgię za rodziną, krajem, (...) młodość spędziłem w Polsce. Pochodzę z rodziny chłopskiej osiadłej na Mazowszu (...).



Obwoluta książki "Nie gościć światła na Manhattanie".

W wielu kwestiach nie zgadzam się z tym, co się dzieje w Warszawie (...), można by pewne rzeczy rozwiązać inaczej, lepiej, ale z tego powodu nie można rzucać gromów na rząd, na Polaków (...). Po moim powrocie opowiedziałem, jakie kolosalne zmiany zaszły w kraju (...) Ameryka dla nas stała się drugą ojczyzną, dbamy o honor, szanujemy ją, ale żywym źródłem siły duchowej pozostaje nadal Polska (...). Chodzi o to, aby wychodząc do tego społeczeństwa zachować te wartości kulturalne, które dla związków z ojczyzną mają nieprzemijające wartości (s. 212).

Kiedy St. Dyksiński żegnał Amerykę, by statkiem "E. Romer" wracać do kraju, na pożegnanie usłyszał od byłego akowca-górala słowa jakże trafne:

Kiedy będzie pan w kraju, to powiedz pan Polakom (...), żeby tutaj nie szukali sympatii. Powiedz pan, żeby liczyli tylko na siebie, tylko na siebie!

Małżonkowie Dyksińscy wracali do kraju przez Florydę, Bermudy, Azory, wybrzeże Hiszpanii i Francji. Do Warszawy dotarli w pierwszych dniach grudnia 1972 r.

Czy pisarz był zachwycony i urzeczony Ameryką, czy rozczarowany?

W tekście książki przeplatają się ze sobą zarówno odczucia pozytywne, jak i negatywne. Obok urody miasta Savannah w stanie Georgia (miejsce śmierci Pułaskiego) pojawiają się, szczególnie przy końcu tekstu, refleksje w rodzaju: *Gdyby jeszcze kilka wiersz, trochę babiego lata i dymu pachnącego pieczonymi ziemniakami, można by powiedzieć, że to droga na Wyszków; lub: Chwilami odnoszę wrażenie, że jestem w Horyńcu nad Bugiem lub w Zawidzu koło Bieżunia na uroczystej Niedzieli na Wsi.*

Czy są to wyrazy nostalgii, czy zwykłe skojarzenia?

Jeśli chodzi o zagadnienie emigracji polskiej w ogóle, Polacy "nie są ani mniej, ani bardziej zasymilowani niż emigranci z innych zbiorowości narodowych". W okresie międzywojennym na emigrantów polskich oddziaływała pewna prawidłowość polegająca na tym, że istniały wielkie różnice kulturowe, religijne, językowe i ekonomiczne. "Im różnice były większe, tym silniejsza potrzeba i konieczność utrzymania własnej kultury".

Taką tezę zaproponował uczone H. Kubiak – podważając ogólną opinię, że rzekomo Polacy asymilują się w różnych krajach powoli. Dalej twierdzi, że zwykle "na początku pobytu jest to polska świadomość narodowa, później, po przejściu procesu asymilacyjnego, jest już świadomością i lojalnością wobec kraju osiedlenia".



Fot. 8. W Stanach Zjednoczonych, 1973 r. Jadwiga i Stanisław Dyksiński na jednej z ulic. Ze zbiorów córki pisarza – Grażyny.

Za podstawowe instytucje asymilujące uznaje: szkołę, zakład pracy, armię, instytucje życia publicznego (banki, handel), parafię, prasę, radio, telewizję, sąsiedztwo. Najszybciej asymilują się dzieci (poprzez szkołę) i one też wchłaniają i przyjmują nowe wartości i wzory zachowań. Dorośli emigranci tylko przystosowują się do nowych warunków i korzystają z kraju osiedlenia, jednak nie zmieniają swej osobowości społecznej⁵⁰.

W książce Dyksińskiego powyższe ustalenia znajdują potwierdzenie. Istnieje wyraźna różnica między problemami starszych przebywających w Ameryce Polaków i ich dziećmi.

Pod względem gatunkowym, jak już wspomniałem, książka „Nie gaście światła na Manhattanie” to typowy reportaż.

Odtwarza rzeczywistość obiektywną, podlegającą sprawdzeniu. Jest to warunek sine qua non tej formy. Reportaż przekazuje czytelnikowi prawdę dnia dzisiejszego z użyciem wszelkich środków artystycznych – prócz fikcji.



Fot. 9. W Stanach Zjednoczonych, 1973 r. Spotkanie pisarza z dziećmi "dzieci kwiatów". Ze zbiorów córki pisarza – Grażyny.

Dwa zasadnicze warunki reportażu: obecność autora na miejscu, o którym pisze i opisywanie rzeczywistości przy pomocy obrazów są w książce Dyksińskiego zachowane i widoczne.

W stosunku do literatury pięknej – jak twierdzą znawcy tematu – reportaż jest gatunkiem “na pograniczu prozy artystycznej i rodzajów literackich używanych w prasie”. Element literacki w reportażu Dyksińskiego to sposób relacji, autentyzm, plastyczność obrazów, kompozycja całości. Reporter z Polski pisze tak, by być pośrednikiem, a czytelnik ma odnieść wrażenie, że to on sam widzi, słyszy i pozostaje w danym miejscu⁵¹.

Jest to książka obrazowa, fabularna (częściowo), sprawozdawcza i dokumentalna zarazem. Szkoda tylko, że umieszczone zdjęcia są czarno-białe.

Wśród reportaży wyróżnia się liczne podgatunki, jak: podróżnicze, sądowe, produkcyjne, wojenne, kryminalne, historyczne, psychologiczne, interwencyjne, popularno-naukowe, portretowe. “Nie gościę światła na Manhattanie” to oczywiście reportaż podróżniczy. Mistrzami tej formy byli, jak wiadomo, K. Baranowski, A. i Cz. Centkiewiczowie, A. Fiedler, W. Korabiewicz, W. Giełżyński, O. Budrewicz, K. Dziwanowski, W. Górnicki, R. Kapuściński, S. Kozicki, J. Lovell, J. Roszko, wreszcie H. Dzikowska i T. Halik.

Losy reportaży są jednak, nawet gdy powstały pod piórem wybitnego twórcy, takie, że po pewnym czasie tracą wszystko. Tymczasem dokument literacki nie traci nigdy.

12.

Stanisław Dyksiński był także działaczem społecznym. Miał ku temu wyraźne predyspozycje i przygotowanie. Swoje plany pracy i konkretną działalność dla społeczności Bieżunia opisał w omawianych wcześniej utworach i powieści “Pomniki ze słomy”.

Po dramatycznych chwilach przesłuchań prowadzonych przez UB w Sierpcu – wynika to z powieści – został zmuszony do wyjazdu. W Czatkowicach pod Krakowem ukończył kurs pedagogiczny dla nauczycieli uniwersytetów ludowych⁵².

W ten sposób autor "Chustki Weroniki" rozpoczął kolejny etap swojego życia, prowadzenie uniwersytetu ludowego w Grzmiącej. Na ten temat napisał kolejną swoją książkę "Moja droga do uniwersytetu ludowego" (1967)⁵³.

Książka składa się z dwóch części: rodowodu uniwersytetów ludowych w Europie (początki w Danii w pocz. XIX w.) oraz początku uniwersytetów ludowych w Polsce (pierwszy uniwersytet ludowy założył Ignacy Solarz w Szycach koło Krakowa w 1924 r.); część druga książki szczegółowo



Fot. 10. Jedna z grup Uniwersytetu Ludowego w Grzmiącej. Po środku siedzą Stanisław Dyksiński z żoną Jadwigą. Ze zbiorów córki pisarza – Grażyny.

oddaje pracę obojga Dyksińskich właśnie w Grzmiącej. Oddajmy głos historykowi:

Uniwersytet ludowy w Grzmiącej został zorganizowany z inicjatywy i staraniem Powiatowego Zarządu ZMW "Wici" w Grodzisku Mazowieckim. Zlokalizowany został w ośrodku poparcelacyjnym, mając do dyspo-

zycji 18-izbowy pałac oraz gospodarstwo rolne o powierzchni 39 ha. Zde-
wastowane budynki odremontowano ze środków Wydziału Oświaty Rolni-
czej w Warszawie przy dużym wkładzie pracy mieszkańców okolicznych
wsi. W początkowym trudnym okresie z pomocą materialną przychodzili
wiciarze, organizując zbiórki żywności i pieniędzy na rzecz internatu, oni
też troszczyli się o zapewnienie frekwencji.

Kierownikiem uniwersytetu był Stanisław Dyksiński, działacz ruchu
ludowego, oświatowiec, szczerzy przyjaciel młodzieży wiejskiej. Funkcję
wychowawców pełniły: Jadwiga Dyksińska, Feliksa Jordanowa i Franci-
szek Duczek (...). Uniwersytet przeprowadził 6 kursów, które ukończyło
180 słuchaczy (...). Na ostatnich dwu 9-miesięcznych kursach program
został rozbudowany w kierunku tematyki administracyjno-samorządowej.
Po likwidacji UL w 1951 r. ośrodek przeznaczono na fermę rolną⁵⁴.

Placówkę w Grzmiącej zorganizował Dyksiński w pierwszej połowie
1946 r. Słuchacze pochodzili ze wsi, z powiatów: makowskiego, puław-



Fot. 11. W Grzmiącej. Od lewej: Jadwiga Dyksińska, Krystyna Kondra-
towska, Stanisław Dyksiński, Franciszek Midura; dzieci: Grażyna i Basia.
Ze zbiorów córki pisarza – Grażyny.

skiego, sierpeckiego, mławskiego i lipnowskiego. Byli rozśpiewani, znali wiele piosenek ludowych. Mówiono, że Grzmiąca rozśpiewała cały powiat grodziski.

Organizator UL prowadził zajęcia z literatury, geografii i z zagadnień nauk polityczno-społecznych. Jego żona Jadwiga zajmowała się internatem, a także prowadziła zajęcia artystyczne – śpiew, taniec, rozrywkę w wolnym czasie.

Język polski prowadziła F. Jordanowa. Ona też uczyła zagadnień higieny. Rachunkowości rolnej i historii uczył J. Duczek.

Młodzież była żądna wiedzy i chłonna.

Na początku uniwersytet miał trudności z książkami i materiałami dydaktycznymi. Ten brak szybko był uzupełniany przez organizatora i kierownika – St. Dyksińskiego. Czytano – wspominają nauczyciele i słuchacze – “Faraona”, “Przedwiośnie” i lektury, które łatwo było zdobyć.

W uniwersytecie pracował samorząd młodzieżowy, a młodzież była zrzeszona w organizacji “Wici” oraz ZMW.

Wolny czas oświetlały młodzieży występy artystyczne zespołów, np. programy Zespołu Ludowego Wojska Polskiego.

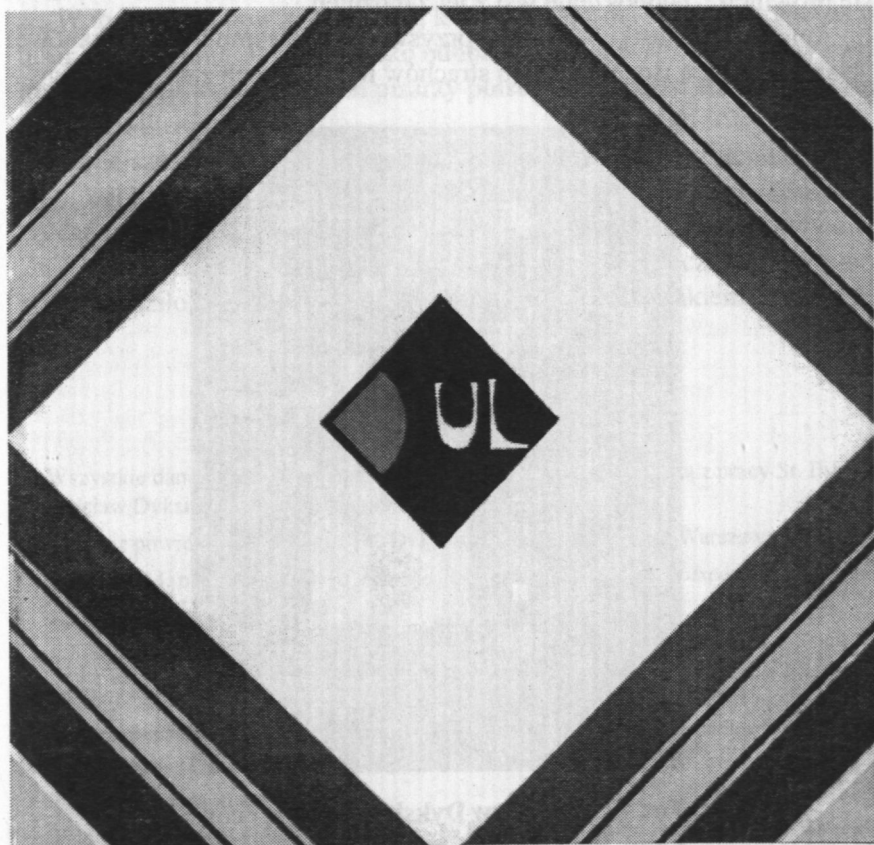
Młodzież w Grzmiącej “odnajdywała swoją młodość i radość towarzyszącą tej młodości”. Pesymizm wynikający z doświadczeń niedawnej wojny, tragiczne wspomnienia, tu przeradzały się pod okiem prawdziwych i oddanych młodzieży pedagogów w postawy nowe – potrzebne w czasie pokoju i pracy na wsi. Uniwersytet przywracał młodzieży godność i nobilitował ją. Po zakończeniu każdego kursu młodzi wyjeżdżali do swych wsi, by w nich pracować nie tylko na roli. Niektórzy obejmowali różne stanowiska w administracji, oświacie, spółdzielczości wiejskiej.

15 marca 1948 r. kończył się już trzeci z kolei kurs UL w Grzmiącej. Absolwenci tych kursów czuli potrzebę kontaktu z kolegami z nowych grup i wychowawcami. Przyjeżdżali do Grzmiącej, wydawali powielaczową gazetkę pt. “Biuletyn Związku Byłych Wychowanków Uniwersytetu Ludowego w Grzmiącej”. W artykułach młodzi absolwenci wyrażali potrzebę oświaty dla wsi, podnoszenia poziomu kultury, wyboru drogi życiowej, likwidacji zapóźnień i zacofania.

St. Dyksiński zawsze podkreślał, że jest “uczniem” i spadkobiercą idei J. Solarza. Kontynuował jego credo ideowe, że “uniwersytety ludowe miały uczynić z chłopca człowieka samodzielnej myśli indywidualnej, pragnę-

moja droga do uniwersytetu ludowego

Stanisław Dyksiński



Okladka książki "Moja droga do uniwersytetu ludowego".

ły, by chłop pozbył się duszy pańszczyźnianej, a obudził w sobie godność, równość społeczną, świadomą swych wartości”⁵⁵.

Po rozwiązaniu UL w Grzmiącej St. Dyksiński nie zaprzestał swej pracy na rzecz wsi. Był jej orędownikiem i trybunem. Pisał artykuły na temat podnoszenia poziomu kulturalnego i cywilizacyjnego wsi, troski o losy wiejskich nauczycieli. Poruszał sprawę docierania książek “pod strzechy”. Przewodził także Uniwersytet Ludowy w Teresinie w pobliżu Niepokalanowa. Zapraszał tam na wykłady wybitnych ludzi, między innymi Jerzego Zawieyskiego⁵⁶ – pisarza, z którym pozostawał w przyjaźni przez wiele lat.

Ze Stefanem Gołębiowskim łączył go zapał do działania, “zaprzękanie się prowincji”, podnoszenie wsi z jej zapóźnień.

Autorowi “Chustki Weroniki” przyświecało to samo hasło Orkanowe: “Naprzód trzeba iść, choćby sto strachów na rozstajach zastąpiło drogę”.



Fot. 12. Stanisław Dyksiński z żoną i córkami, Piastów 1955 r. Obok Jerzy Zawieyski. Ze zbiorów córki pisarza – Grażyny.

Niniejszy szkic, esej (?) rozpoczyna omówienie powieści o walce na Podhalu. Autor łączył swoją pierwszą książkę z pracą w uniwersytecie. Pisał m.in.:

Gdzieś na przełomie 1945 i na początku 1946 przebywałem krótko w tamtych stronach. Poznałem Weronikę. Przed kilkoma miesiącami wróciła z Oświęcimia i z miejsca zabrała się do pracy pedagogicznej. Podziwiałem jej niespożyte siły i entuzjazm do pracy. Łączyło nas wiele – lata konspiracji, ideały wiciowe, wychowawcze, ruch ludowy.

Ona prowadziła UL na Podhalu, ja w Grzmiącej (...). Mój uniwersytet i jej zapelniał się byłymi partyzantami, żołnierzami (...). Przywracaliśmy ich do pracy i warunków w wolnej ojczyźnie⁵⁷.

W ten sposób powstała klamra, która rozpoczyna i kończy treść życia pisarza z Bieżunia. Jego nazwisko odnotował Lesław M. Bartelski w swoim "Słowniku współczesnych pisarzy polskich", podając krótką biografię i dorobek literacki.

Niniejsza praca może rozszerzyć wiedzę i dostarczyć czytelnikom różnych punktów widzenia twórczości Stanisława Dyksińskiego. Może też rzucać nowe światło na sprawy dawne, wyjaśniać je lepiej i obiektywniej. Znał pisarz – jak sam przyznaje – wszystkie sprawy miasteczka, gdzie "słońce wschodziło zza stodoły Ceceli, a zachodziło za wiatrakami Bunicha".

Przypisy

1. Wszystkie dane biograficzne dotyczące St. Dyksińskiego pochodzą z pracy St. Iłskiego "Stanisław Dyksiński, literat i działacz ludowy z Bieżunia", mps.
2. Cytaty z powieści wg wydania: ST. DYKSIŃSKI, *Chustka Weroniki*, Warszawa 1967 r.
3. Por.: CZ. MADAJCZYK, *Polityka Trzeciej Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. I, Warszawa 1970, s. 21, 64-71.
4. Por.: A. FILAR, *U podnóża Tatr, 1939-1945*, Warszawa 1985, s. 21-27; "(...) siedziba Policji Bezpieczeństwa znajdowała się początkowo w willi »Excellior« (dziś »Krokus«) przy ulicy Grunwaldzkiej, następnie w innym okazalszym budynku o nazwie »Palace« przy ulicy Chałubińskiego 7." Tu katowani byli m.in. sławni sportowcy: Bronisław Czech (zmarł w Oświęcimiu) i Helena Marusarzówna (zamordowana w 1941 r.).
5. Nosiła tytuł "Na Placówce".
6. Są to pseudonimy wojenne; w późniejszych fragmentach pracy zostaną podane ich prawdziwe nazwiska.

7. Prawdziwe nazwisko – Roman Romanowski; konfident.
8. Pod tym literackim pseudonimem kryje się autentyczna postać Augustyna Suskiego, nauczyciela; aresztowano go 30 stycznia 1942 r.; St. Dyksiński miał wiadomość o nim z pierwszej ręki; por.: A. FILAR, *U podnóża Tatr, 1939-1945*, op. cit. s. 31. Nazwisko to odnotował L. Bartelski w kronice poetów i pisarzy rozstrzelanych w latach 1939-1945 w jednym z numerów "Poezji" dotyczącym "Poetów Polski walczącej 1939-1945".
9. Z tzw. "piątek" składały się poszczególne placówki Konfederacji Tatrzańskiej; placówek było w Zakopanem trzy; A. FILAR, *U podnóża Tatr, 1939-1945*, op. cit. s. 44.
10. W styczniu 1942 r. aresztowano całe dowództwo z Augustynem Suskim; wszystkich zwożono na śledztwo do "Palace" (w sumie ok. 300 osób), niektórych z nich rozstrzelowano na miejscu, większość zginęła w obozach koncentracyjnych, ocalałi przeszli do innych ugrupowań, np. do AK; od lipca 1942 r. organizacji już nie odbudowano; A. FILAR, *U podnóża Tatr, 1939-1945*, op. cit.
11. Fragment jest tu elementem autobiograficznym; motyw młyna wodnego występuje i w innych utworach, np. w opowiadaniu "Dziki gołąb". W literaturze polskiej "młyn" był ulubionym motywem prozy J. Iwaszkiewicza.
12. W. SEDŁAK, *Sens i bezsens życia*, "Miesięcznik Literacki", 1983, nr 11-12, s. 133.
13. Taką interpretację można przyjąć, stosując zestawienie z opowiadaniem obozowymi T. Borowskiego z tomu "Kamienny świat" i "Pożegnanie z Marią".
14. ST. ILSKI, *Stanisław Dyksiński literat...*, op. cit.
15. Z rozmowy St. Dyksińskiego z czytelnikami, mat. udostępnione mi przez córkę pisarza – Grażynę Dyksińską-Rogalską.
16. Chodzi o pracę: ST. LECZYKIEWICZ, *Konfederacja Tatrzańska*, Warszawa 1979.
17. Por.: T. DREWNOŃSKI, *Literatura polska 1944-1989. Próba scalenia. Obiegi – wzorce – style*, Warszawa 1998, s. 59.
18. Cytaty dotyczące autentycznych zdarzeń (w:) A. FILAR, ST. LECZYKIEWICZ, "*»Palace« katownia Podhala*", Warszawa 1962, s. 270-275.
19. A. FILAR, *U podnóża Tatr, 1939-1945*, op. cit., s. 110.
20. Ibid., s. 22-23.
21. Chodzi o pałac po A. Zamoyskim w Bieżuniu oraz o młyn wodny nad rzeką Wkrą (obecnie jako ruina po pożarze).
22. Spychówka – łódka poruszana człębkiem, "na pych".
23. Rec. udostępnił mi St. Ilski.
24. Rec. udostępniła mi córka pisarza – Grażyna Dyksińska-Rogalska.
25. J.w.
26. Cyt. za wyd.: A. MICKIEWICZ, *Dzieła poetyckie*, Warszawa 1982.
27. K. BRODZIŃSKI, *O klasycyzmie i romantyzmie w literaturze polskiej*; (w:) *Idee programowe romantyków polskich*, BN-s. I, 261, s. 23; w artykule "O idei i uczuciu

nieskończoności” Brodziński pisał np. o istnieniu “świata niewidzialnego”.

28. Por.: St. ILSKI, *St. Dykiński literat...*, op. cit.

29. Nie udało się ustalić, kto kryje się pod pseud. “Gładki”, nie figuruje on w wykazie szczegółowym pseudonimów w oprac. T. Fijałkowskiego w pracy “Pod kryptonimem »Wkra«”, Warszawa 1971; istnieje przypuszczenie, że chodzi o Kazimierza Kuligowskiego (pseud. “Ful”) lub Ryszarda Siemiątkowskiego (pseud. “Burta”).

30. Chodzi o postać autentyczną Jana Pydyna z Bielaw (ps. “Cichy”).

31. Sklep prowadził w rogu rynku w Bieżuniu (dom Grodzickiego) Oswald Schmidt.

32. Zapewne chodzi o kpt. “Białego” – zastępcę mjr. “Smirnowa” – Genadija Bratczikowa; pseud. “Biały” nosił Władimir Ilicz Bojarincew; por.: F. FIJAŁKOWSKI, *Pod kryptonimem »Wkra«*, op. cit., s. 152, 338.

33. Informacja za: J. GMITRUK, P. MATUSAK, J. NOWAK, *Kalendarium działalności bojowej Batalionów Chłopskich*, Warszawa 1983; R. JUSZKIEWICZ, *Mławskie Mazowsze w walce*, Warszawa 1988, s. 247; T. FIJAŁKOWSKI, *Pod kryptonimem »Wkra«*, op. cit.; pr. zbior., *Ruch ludowy na Mazowszu, Kurpiach i Podlasiu...*, 1975; mat. zebr. przez St. Iłskiego, M. Przedpeńskiego, J. Siedlecką i S. Zaleskiego, *Słownik strat osobowych gminy Biezuń w latach 1939-1947*, “Biezuńskie Zeszyty Historyczne” 1993, z. 4.

34. Czytamy tu m.in.: “Z chwilą oswobodzenia ziem naszych (...) zakończyła się nasza rola jako żołnierzy Podziemnej Polski Ludowej. Nie ma już potrzeby konspiracji. O Polskę Ludową możemy już walczyć jawnie wszystkimi dostępnymi dla nas środkami. Wobec powyższego zarządzam, co następuje: – wszelkie formacje BCh zostają rozwiązane (...)”, cyt. za: *Ruch Ludowy na Mazowszu, Kurpiach i Podlasiu – mat. sesji popularno-naukowej zorganizowanej przez Zakład Historii Ruchu Ludowego przy NK ZSL i Komisję Historyczną WK ZSL w Warszawie w dniu 20 stycznia 1973 r.*, Warszawa 1975, s. 238. W pracy R. Juskiewicza “Mławskie Mazowsze w walce”, Warszawa 1968, s. 247-248 został podany skład osobowy podokręgu “Wkra”. Komendanci do kwietnia 1943 r.: Antoni Załęski (“Torf”), od czerwca 1943 r. do końca okupacji Kazimierz Kazimierowicz (“Mars”); zastępcy do 1942 r.: Stefan Nydziński (“Brzoza”), do marca 1944 r. Władysław Rutkowski (“Smukły”), do października 1944 r. Ryszard Siemiątkowski (“Burta”), do końca okupacji Stefan Kocięda (“Las”); szefem propagandy i prasy był Kazimierz Kuligowski (“Ful”), szefem wywiadu i oddziałów specjalnych był Ryszard Siemiątkowski; szefem łączności Tadeusz Fijałkowski (“Knot”), zastępcą był Stanisław Waszczak; szefem wyszkolenia był Bernard Zieliński (“Sęp”); szefem intendencji Jan Plocharski (“Łupek”).

35. Oddziały specjalne były tworzone w BCh na Północnym Mazowszu na rozkaz komendanta K. Kazimierowicza (“Marsa”). Miały za zadanie: 1. Ochronę ludzi z BCh zbiegających przed aresztowaniami, 2. Odbijanie z konwojów aresztowanych oraz rozbijanie więzień i obozów, 3. Wykonywanie aktów dywersji na tyłach nieprzyjaciela, 4. Zdobywanie broni, 5. Likwidowanie lub izolowanie konfidentów; por. R. JUSZKIEWICZ, *Mławskie Mazowsze w walce...*, op. cit., s. 248.

36. Postać autentyczna.

37. Nazwy wsi w pobliżu Bieżunia, przy szosie Biezuń-Sławęcín.

38. Pseud. Kazimierza Kuligowskiego, por. przypis 29.
39. Z dalszego tekstu wynika, że chodzi o wiatrak Dolewskiego.
40. Sokołowy Kąt – wieś przy szosie Biezuń-Sięmiątkowo Koziobrodzkie.
41. Zapewne chodzi o tereny Kępy Gołuskiej, obecnie uznanej za rezerwat krajobrazowy.
42. Bardzo podobne fakty podał T. Fijałkowski: “W sierpniu 1941 roku w czasie masowych aresztowań członków POZ i BCH Cecelski Teofil ukrył, przechował, a następnie bezpiecznymi ścieżkami przeprowadził nocą do Głodowa dwóch czołowych działaczy POZ: Stanisława i Klemensa Dyksińskich z Bieżunia”; *Pod kryptonimem “Wkra”*, op. cit., s. 179-186.
43. Cyt. z recenzji nieznanego autora, udostępniony mi przez St. Iłskiego.
44. Cyt. z korespondencji Gołębiowskiego do St. Dyksińskiego z dnia 21 marca 1970 r. udostępnionej przez córkę pisarza.
45. Z bibliografii utworów wyd. po drugiej wojnie, oprac. St. Iłski, mps.
46. Cz. MADAJCYK, *Polska roku 1945*, “Miesięcznik Literacki”, 1985, nr 7, s. 83.
47. Maszynopis tekstu konspektu udostępniła mi córka pisarza – Grażyna Dyksińska-Rogalska.
48. W pięćdziesiąt rocznicę istnienia szkoły wyszła drukiem praca W. Mieszkowskiego “Liceum Ogólnokształcące im. Wł. Orkana w Bieżuniu 1945-1995 w świetle dokumentów, cz. I, II”, “Bieżuńskie Zeszyty Historyczne”, 1995, nr 6-7.
49. Wanda – żona Józefa Spornego (z. d. Kondratowska), rodzona siostra Jadwigi Dyksińskiej, żony pisarza. Do USA wyjechała przed drugą wojną światową.
50. Por.: H. KUBIAK, *Adaptacja społeczno-kulturalna emigrantów polskich. Założenia teoretyczne*, “Miesięcznik Literacki”, XII, 1975, s. 89-93.
51. Por.: J. MAZIARSKI, *Anatomia reportażu*, Kraków 1966, s. 14 i nast.; Cz. NIEDZIELSKI, *O teoretycznoliterackich tradycjach prozy dokumentarnej (podróż – powieść – reportaż)*, Toruń 1966, s. 139-141; K. KĄKOLEWSKI, *Reportaż*, (w:) *Słownik literatury polskiej XX wieku*, Warszawa 1994, s. 933.
52. Informacja wg: ST. IŁSKI, *Stanisław Dyksiński – literat i działacz ludowy z Bieżunia*, op. cit.
53. ST. DYKSIŃSKI, *Moja droga do uniwersytetu ludowego*, Warszawa 1967.
54. Cyt. za: J. ZIOMEK, *Uniwersytety ludowe na Mazowszu*, (w:) *Ruch ludowy na Mazowszu, Kurpiach i Podlasiu*, op. cit., s. 395.
55. J. SOLARZ, *Wiejski Uniwersytet Ludowy a szkoła rolnicza*, “Siew”, 1927, nr 11, s. 7; cyt. za: ST. DYKSIŃSKI, *Moja droga...*, op. cit. s. 27.
56. Jerzy Zawieyski – pisarz, poseł na Sejm, wygłosił w Sejmie w 1968 r. słynną mowę w obronie młodzieży; był prywatnie ojcem chrzestnym jednej z córek St. Dyksińskiego – Grażyny. St. Dyksiński prowadził także Uniwersytet Ludowy w Teresinie w pobliżu Niepokalanowa. Zapraszał tam na wykłady wybitnych ludzi, m.in. Jerzego Zawieyskiego (pisarza), z którym pozostawał w przyjaźni przez wiele lat.
57. Z rozmowy pisarza z czytelnikami, op. cit.